ŁOWIEC POLSKI



Droga na wzgórzu. Fot. W. Wysocki.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 17 (901) 10 CZERWCA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Komisja Sędziów przegląda psy podczas konkursu młodych wyżłów Sekcji Kynologicznej Wlkp. Zw. Myśl.: „Związku Hodowców Wyżła Szorstkowłosego" w Poznaniu.

KONKURS

Komisja Propagandowa Polskiego Związku Łowieckiego niniejszem ogłasza konkurs na napisanie broszury propagandowej, w popularny sposób traktującej o zadaniach i celach łowiectwa polskiego, oraz o drogach jego rozwoju.

Praca ta ma obejmować mniej więcej 24 do 32 stronic druku (po 36 — 40 wierszy garmondowych szpalty „Łowca Polskiego"), czyli około 900 do 1200 wierszy, i możliwie wszechstronnie wyczerpywać temat, zawarty w tytule: „Zadania i cele łowiectwa polskiego, oraz drogi jego rozwoju".

Komisja Propagandowa ustaliła ilość pięciu nagród w następujących wysokościach:

I nagroda — złotych 300.— (trzysta);
II nagroda — złotych 200.— (dwieście);
III nagroda — złotych 150.— (stopięćdziesiąt);
IV nagroda — złotych 100.— (sto);
V nagroda — złotych 50.— (pięćdziesiąt).

Jury konkursowemu przysługuje prawo — w razie braku odpowiednich prac — nieprzyznania jakiejś nagrody, lub połączenia dwu nagród w jedną.

Jury konkursowe stanowią P.P. Prof. Józef Gieysztor, Przewodniczący Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł., Red. Walenty Garczyński, Red. Stefan Krzywoszewski, Inż. Tadeusz Śliwiński i Red. Stanisław Prus Wiśniewski.

Termin nadsyłania prac na konkurs (w maszynopisach) ustalono do 30 czerwca r. b. włącznie.

Prace nagrodzone stanowią własność Komisji Propagandowej Związku i mogą być zużytkowane w całości, lub z pewnemi skreśleniami, czy też przeróbkami redakcyjnemi; wreszcie tekst wydawanej drukiem broszury może być w razie potrzeby kompilowany z kilku nagrodzonych prac.

Prace nienagrodzone mogą być ewentualnie nabyte także przez Komisję Propagandową na zasadzie osobnego porozumienia z autorami.

Nadsyłane na konkurs prace winny być opatrzone godłami autorów. W osobnej kopercie, noszącej na zewnętrznej stronie godło autora i dołączonej do nadesłanej pracy, winna być umieszczona kartka z imieniem, nazwiskiem i adresem autora, wypisana na maszynie.

„KŁUSOWNIK"

Słowo kłusownik, a niestety częściej jeszcze używane, ślicznie brzmiące słówko „raubszyc", często jest powtarzane w rozmowach i rozważaniach myśliwskich. Czy odpowiada ono jednak ściśle określonemu pojęciu, to może jest pytanie, na które natychmiastowa odpowiedź mogłaby nastręczyć trudności.

Skąd wzięte zostało słowo kłusownik i jak dawno jest przez myśliwych używane? Nie jestem językoznawcą, trudno mi na to szukać wyczerpującej odpowiedzi. Mogę tylko wziąć pod uwagę słowo kłus, oznaczające względnie szybki, wytrwały i lekki czy zręczny bieg. Coś jest tu pokrewnego. Zwykle kłusownik odznaczać się powinien podobnemi zaletami, t. j. wytrwałością, lekkością i zwinnością ruchów. Są to jednak cechy potrzebne i myśliwemu. W tym wypadku różnica pomiędzy myśliwym a kłusownikiem ogranicza się w sferze tych cech do różnicy pomiędzy potrzebą a koniecznością. Są to cechy zewnętrzne wykonywanych czynności, nic nie mówiące o treści czynności.



Na wiosnę... Fot. J. Hołyński.

Może językoznawca wyszukałby inne właściwości słowa kłusownik. Powyższe jednak uwagi wykazują raczej właściwości wspólne dla myśliwego i kłusownika. Natomiast słowo i pojęcie kłusownika powinno raczej wykazywać różnice, gdyż chcielibyśmy przecież mieć pojęcia myśliwego i kłusownika, jako dwa przeciwne bieguny.

Tymczasem sami myśliwi zacierają różnice. Wszak w codziennych pogwarach myśliwskich często przyczepia się niejednemu z towarzyszy łatkę: „Ale to jest kłusownik", czy coś w tym rodzaju. Niektórym zaś kłusownikom przyznajemy wartości myśliwskie, a nawet czasami wartości te wyróżniamy.

Sądziłbym, że pojęcie myśliwego należy przeciwstawić pojęciu kłusownika, a to przedewszystkiem przez wyposażenie pojęcia kłusownika takiemi zasadniczemi właściwościami, któreby w żadnym wypadku myśliwemu bez ujmy nie mogły być doczepione. Jak już wyżej wzmiankowałem, myśliwi w swych pogwarach nie przeprowadzają tak wyraźnie zaznaczonej granicy. Wynikałoby z tego, że zwyczaje łowieckie nie określają zbyt wyraźnie pojęcia kłusownika. Może czyni to ustawa?

Ale ustawa łowiecka zawiera tylko tyle a tyle przepisów, przekroczenie tych przepisów uznaje za podlegające karze, ale o kłusownictwie właściwie nic nie mówi, używając określeń: „kto poluje i t. d..." „podlega karze i t. d.". Nie można zatem przekroczenia ustawy uznać za „kłusownictwo", gdyż po pierwsze nigdzie nie jest to napisane, następnie wiele przepisów jest przekraczanych bodaj że przez wszystkich myśliwych, chociażby przepis zabraniający polowania na drobną zwierzynę, jak zające i kuropatwy, p o z a c h o d z i e s ł o ń c a. Czyli do kłusownika trzebaby stosować tylko brzmienie niektórych przepisów ustawy, ale których, to pozostaje do pewnego stopnia sprawą otwartą. Więc np. naruszenie cudzych uprawnień. Ale czy ustawa przewiduje wszelkie naruszenia wedle zwyczajów myśliwskich? Przecież strzelanie do zwierzyny, wychodzącej z cudzego rewiru na sąsiedni, w wielu wypadkach zwyczaj łowiecki uzna za kłusowanie, a ustawa uznaje za uprawnione polowanie. Ustawa obowiązująca przynosi nieco podstaw do określenia niektórych szczegółów treści pojęcia kłusownika, ale jednocześnie zaciemnia inne, znów zacierając różnicę pomiędzy myśliwym a kłusownikiem. Trzebaby szukać dalej. Trochę wskazówek przyniesie zbadanie słowa „Raubschütz".*) Słowo „rauben" oznacza: grabić, sięgać po cudzą własność z chciwości, z chęci zysku, najczęściej bez okoliczności łagodzącej, jaką mogłaby być konieczność zaspokojenia pierwszej potrzeby dla zachowania gatunku.

Otóż sądziłbym, że właśnie chęć zagrabienia cudzej zwierzyny w najszerszem tego słowa znaczeniu, bez okoliczności łagodzących, jakiemi mogą być: głód, szkody przez zwierzynę wyrządzane itp., mogłoby być jedną z cech istotnych pojęcia kłusownika. Dołączenie drugiej, opartej na obowiązującej ustawie, w przepisach o naruszeniu cudzego uprawnienia, dałoby podstawy do ustalania treści pojęcia kłusownika. Dlatego u s t a l a n i a, a nie ustalenia, gdyż zmieniające się warunki łowieckie z upływem dziesiątków lat wywołują zmiany w panujących zwyczajach łowieckich, które to zwyczaje powinny odpowiednio treść pojęcia kłusownika uzupełniać.

Sądziłbym dalej, że postępująca naprzód organizacja łowiectwa polskiego powinna przeprowadzić pewnego rodzaju zestawienie i uporządkowanie zwyczajów łowieckich bądź bardziej powszechnych, bądź bardziej dzielnicowych, i dążyć do nadania im mocy obowiązującej dla swych członków. Taka kodyfikacja zwyczajów łowieckich, po przyjęciu jej przez Polski Związek Łowiecki, ułatwiłaby znakomicie stosowanie pewnego rozjemstwa dla spraw, które z tych czy innych powodów nie nadają się do innego rozstrzygania. Natomiast nowe podstawy organizacji polskiego łowiectwa znalazłyby dla orzeczeń rozjemczych odpowiednie sposoby wykonawcze.

JERZY BŁESZYŃSKI.

*) To znaczy: uprawiający rabunkowy odstrzał, w najszerszem pojęciu, niekoniecznie na cudzym terenie. Wyraz „kłusownik" tego pojęcia, niestety, nie zawiera, a oznacza zawziętego, nie znającego żadnych hamulców myśliwca. Gdyby zamiast „raubszyc" wynaleziono stosowny polski wyraz, byłoby to nader pożądane. (Przyp. red.).

Z TCHNIENIEM WIOSNY

I znowu wróciła wiosna, nadszedł dla myśliwego czas silnych i niezapomnianych wzruszeń.

Zmienna i kapryśna aura w miesiącu kwietniu, zwłaszcza w pierwszej jego połowie, nie wróżyła pomyślnych sukcesów łowieckich w tym sezonie, wystawiając na rozterkę niejednego myśliwego, wybierającego się na toki.

Po długich wahaniach zdecydowałem się wreszcie na wyjazd i 16-tego kwietnia byłem już na Polesiu. Jak co roku, tak i teraz zaczęliśmy z Andrejem nasze polowania na rzece na kaczory. Wody w tym roku, niestety, na Polesiu było bardzo mało. Rzeki wogóle szeroko nie rozlały, duże obszary podmokłych o tej porze łąk zastałem suche. Łatwy więc był dostęp dla poleskich pastuchów i ich psów do kaczych gniazd, dobra okazja do wybierania jaj i do ohydnego sportu — w lipcu — wyłapywania kundlami klapaczy.

Proceder ten uprawiany wszędzie na Polesiu, gdzie tylko gnieżdżą się kaczki, prawdziwa plaga dla tutejszego łowiectwa, bardzo trudny do całkowitego zwalczenia, jest najgłówniejszą przyczyną podupadnięcia tak pięknych i obfitych w wodne ptactwo poleskich zwierzostanów.

Okoliczność, iż wskutek zeszłorocznej klęski posuchy wygłodniałe z braku paszy bydło chłopi bardzo wcześnie, bo już w drugiej połowie marca, wypędzili na rozlewiska rzek i na moczary, siejąc w ten sposób strach i zamieszanie wśród ptactwa, które w czasie godów i późniejszego lęgu wymaga specjalnego spokoju, budziła również smutne refleksje. Ileż to bowiem stad kaczek, które tutaj zapadły w powrotnej drodze z zimowych pieleszy, uleciało dalej na północ, wypłoszone wrzaskami ustawicznie uwijających się po rzece za swoim „towarem" pastuchów, stracone dla tutejszych terenów!

Mimo tych przykrych wrażeń i horoskopów, danem mi było także przeżyć kilka pięknych chwil na łonie rozbudzonej do nowego życia poleskiej przyrody.



Czajka. Fot. A. Wiśniewski.

Wyjechaliśmy z Andrejem na rzekę, kierując łódź w najbardziej głuche i niedostępne miejsca. Po rocznej przerwie oko i ucho myśliwego chciwie pochłania wszystko to, co mogą dać tylko poleskie wody i poleska wiosna. Myśl biegnie leniwo, umysł odpoczywa, całą istotę człowieczą ogarnia jakaś słodka błogość. Zaostrzony jest tylko zmysł wzroku i słuchu.

Wszystko tu cieszy się wiosną. Wyciągają ku słońcu swoje złote główki „łotacie" (knieć błotna), nadające w tym czasie tak charakterystyczny wygląd wodom Polesia; szybują w górę zielone pędy wodnego zielska i traw, pławią się w słońcu młode listki gęsto po rzece rozrzuconych „korczów". Powietrze napełnia gwar ptasiej gawiedzi, mającej tu bardzo licznych przedstawicieli. Na mokrych łąkach żałośnie zawodzą czajki, od czasu do czasu „zabębni" kszyk synchronicznie, z figlarnym ku ziemi opadem w czasie swego lotu. Nad niemi w donośności głosu górują „hryce" (szlamnik hrycaj), trzymające się w małych stadkach, z któremi znów rywalizują w estetyce tonów inne kuliki.



Bohaterka poranka na tle padłych z jej przyczyny zalotników. Fot. R. Rogowski.

Wpychamy łódź w wąską „kanawę", obrośniętą krzakami iwy, tworzącemi dobrą dla nas zasłonę. Płoszymy parkę cyranek. Szybki strzał... i piękny samczyk leży już na wodzie, łyskając białym brzuszkiem. Przedwcześnie owdowiała kaczuszka po stracie ukochanego żałośnie zakwakała i, straciwszy w tak niespodziewanym wypadku całkiem rozsądek, niedaleko zapadła. Lecz trudno nam się roztkliwiać nad nieszczęściem młodej wdówki, czas ukoi bóle, a jeszcze niejeden dziarski kaczorek podbije jej serce.

Wypływamy na więcej otwartą przestrzeń i zauważamy na zalanej wodą łączce stadko kaczek. O podjechaniu łódką niema mowy. Za radą Andreja postanawiam skorzystać z obecności pasącego się tam bydła i pod jego osłoną podejść na możliwy strzał. I rzeczywiście, dzięki spokojnemu zachowywaniu się tych zwierząt i dzięki moim wysokim nieprzemakalnym butom gumowym, dozwalającym mi na niemożliwe nieraz pozycje w czasie podchodu, trudy moje zostały nagrodzone, gdyż wyjrzawszy z pod szyi ostatniej krowy, ujrzałem ptaki na daleki strzał śrutowy. Wymierzyłem w pokaźnego, najbliżej siedzącego kaczora krzyżowego, który po strzale stał się moim łupem.

Najeździliśmy się już dość długo, a rozkład nasz nie powiększał się z powodu niemożności podjechania ptaków na strzał. Kaczki okazały się bardzo czujne, zwłaszcza krzyżówki, i podrywały się wciąż na bardzo duże odległości. Nie zmienił także sytuacji, mimo moich wysiłków, wabik (model amerykański), którego wartość, mojem zdaniem, należy uważać za problematyczną. Kaczory wogóle na wabienie nie odpowiadały i żaden z nich nie raczył nawet przylecieć w moją stronę.

W powrotnej drodze mieliśmy szczęście zauważyć pokaźne stadko perkozów dwuczubych, odpoczywających na obszernej tafli wodnej, którą obrały sobie zapewne za jeden z etapów wypoczynkowych swojej długiej powrotnej trasy. Podjechaliśmy do nich na 200 kroków. Bliżej nie mogliśmy, gdyż stojący na uboczu przy brzegu, nieruchomy, jak mały pieniek, wartownik, ostrzegawczo zakrakał. Ukryliśmy się tedy z łódką za najbliższy krzak i oddaliśmy się z lubością obserwacji tych ciekawych ptaków.



Gniazdo nura. Fot. Inż. T. Śledziński.

Perkozy były widocznie w dobrym humorze, pluskały się w wodzie, urządzały wzajemne gonitwy, jako też zdumiewające w sprawności ruchów popisy nurkowania. Nagle rozległ się świst i blisko przeciągnęła para cyranek. Błyskawicznie się złożyłem i spuściłem z góry kaczorka. Sterczący z wody kuperek i końce lotek świadczyły, iż zdobycz nam nie uszła. Tymczasem perkozy po strzale z charakterystycznym pokrzykiem zerwały się do lotu. Widzimy, jak, bijąc skrzydłami po wodzie na przestrzeni kilku metrów, nabierają rozpędu, odbijają się następnie od wody, formują się w klucz i, o dziwo, pędzą nisko w zwartym szyku wprost na nas. Przeleciały nad naszemi głowami, a zawróciwszy, jeszcze dwa razy nas w ten sposób „atakowały". Niski ich lot sprzyjał łatwym strzałom, nietrudno było kilkanaście sztuk odbić śrutem ze stada. Lecz pocóż? Wiosenne polowania nie powinny być obliczane na rekordowe rozkłady, lecz na jakość zdobytych wrażeń, sam zaś odstrzał zwierzyny powinien być bardzo umiarkowanie stosowany.

Co było powodem dziwnego zachowania się tych zwykle tak ostrożnych ptaków, trudno orzec; prawdopodobnie ciekawość, cechująca wszystkie ptaki, odgrywała tu najważniejszą rolę.

Następne dni polowania na rzece nie dały mi lepszych wyników, tak że mój rozkład wyraża się tylko w dwóch gatunkach kaczek: trzech kaczorów krzyżowych i sześciu — cyranek. Oczywiście, że za najracjonalniejszy sposób polowania na kaczory uważam polowanie z krykuchami, ten sposób jednak nie dla każdego jest dostępny.

Cietrzewie dały mi dużo miłych niespodzianek. Przedewszystkiem tokowało ich znacznie więcej, niż roku ubiegłego, a tokowiska nie były tak rozstrzelone. Wskutek zaś braku wody tego roku na Polesiu, mogłem dojść w wysokich butach do najniedostępniejszych i najpiękniejszych tokowisk, położonych w sercu moczarów i błot, i postawić tam budki.

Pierwsza zasiadka w budce była dla mnie informacyjnym wywiadem, mającym mnie zorjentować, gdzie najlepsze toki się odbywają i czy budki są w dobrych miejscach postawione. Po wysłuchaniu chóru pierwszych rannych śpiewaków, oddających w ten sposób cześć Stwórcy, oczekiwałem w napięciu i utęsknieniu tej chwili, kiedy usłyszę łopot zapadającego w pobliżu ptaka, a potem ową smętną, zawierającą tyle skargi pieśń, słuchaną zawsze z tem samem wzruszeniem, jak co roku, i zawsze nową.

Ciemno było jeszcze zupełnie, gdy usłyszałem zapad cietrzewia koło budki. Po chwili popłynął w dal zew wojenny: czuff! czuff! A wreszcie rozległa się jednostajna pieśń, podobna do werbla. Wtem z przymilnem kwoktaniem nadleciała kura, a łopot skrzydeł opuszczającego się na ziemię ptaka utwierdził mnie w przekonaniu, iż było to umówione randez-vous z moim trubadurem. Teraz popłynęła coraz namiętniejsza pieśń, przechodząca nieraz w jednolity bełkot, spowodowana obecnością cieciorki, i kogut podlatując zaczął zbliżać się coraz bardziej ku budce. Już widzę na ogólnem ciemnem tle naprzemian ukazujące się i ginące białe pióra liry i luster. Naraz znowu coś zafurkotało całkiem blisko i przez gałęzie budki rozpoznaję nową sylwetkę cietrzewia. Ale to nie kogut, lecz niewyspana jeszcze, spóźniona hurysa. A więc powoli harem zaczyna się kompletować.

Już się dobrze rozwidniło. Jestem świadkiem pięknej sceny. Oto na kępie siedzi kogut z wyciągniętą poziomo szyją, drgającą w takt pieśni, z rozpuszczonemi ku ziemi skrzydłami i z rozłożonemi pionowo piórami liry, a w pewnem oddaleniu od niego snuje się szara bogdanka, kusząc drażniącemi ruchami i powłóczystem spojrzeniem namiętnego zalotnika. Napróżno wysila on cały swój kunszt artystyczny i wśród podskoków podlatuje do niej. Niepoprawna kokietka wciąż umyka między kępy, wciąż niedostępna, nieczuła na męki, które przechodzi nieszczęsny pieśniarz, i wciąż kusi. Lecz moja wierna dwunastka niecierpliwi się, gdyż kogut zaczyna się oddalać. Już wyłaniają się czeluście luf, które zioną w kierunku roznamiętnionego ptaka.



Przerwana pieśń. Fot. Dr. med. wet. K. Czelny.

Huknął strzał i przerwał właśnie zaczętą pieśń. Dwa następne ranki, które spędziłem każdy w innej budce, wzbogaciły moje przeżycia w barwne obrazki z życia tych ciekawych ptaków, uświetniając rozkład mój dwoma staremi kogutami o silnie wygiętych lirach.

W nocy dnia 20-tego kwietnia nagle silnie pochłodniało i spadł obfity śnieg. Toki się popsuły i to skłoniło mnie do szybszego, niż to planowałem, wyjazdu z drogich sercu stron.

KAZIMIERZ CZELNY

RANNE MISTERJUM

Niedoszłej Towarzyszce w budce.

Trrrrrrrrr.......

Ostry dźwięk budzika podrywa mnie na nogi. Ubieram się. Walizki już zapakowane, idę na dworzec.

Szaro, smutno, żałośnie, zimno!

I pomyśleć, że w kwietniu, w drugiej połowie miesiąca taka niepogoda.

Strach nie daje myśleć, że gdy niepogoda utrzyma się, to toków nie będzie. Na darmo przejadę pięćset kilometrów z dalekiego Pomorza na wyżyny kieleckie.

W pociągu przepełnienie.

Stoję i myślę o tej radosnej przyszłości. Pod czaszką myśli cudowne o tych wyśnionych w snach wiosennych, niespokojnych cietrzewiach, co błyszczą granatem swojego pancerza, a brwi mają czerwone, jak usta kobiet. Cietrzewie, to ptaki Apollina, bo lirę w ogonach noszą, a nikt nie zaprzeczy, że są też muzykalne.

*

Ciemno.

Na niebiosach przewalają się ciężkie, groźne chmury. Gwiazdy wybłyskują słabo, od czasu do czasu.

Księżyc niepełny nie świeci, lecz przesłonięty chmurami, jakby chory, anemiczny, sączy szare, mgliste światło.

Do tokowisk jest 5 kilometrów drogi.

Z początku idzie wszystko dobrze. Droga szeroka, wygodna; świecą latarki.

Lecz potem, o Boże!

O drogo!

Będę pamiętał cię do końca życia i nawet po śmierci, jeśli będę mógł!

Byłaś ciężka, jak droga przez życie, z zachowaniem wszystkich cnót chrześcijańskich!

Zmęczyłaś mnie, jak kochanka, i podobna byłaś do niej, bo potem z tęsknotą do ciebie wracałem.

Ciało, okutane niewiadomo czem, oblało się potem gorącym.

Włosy zlepiły się w ciężkie kosmyki i ciężyły na głowie.

Z kępy na kępę, albo i w wodę, jak się zdarzyło, podpierając się kijem, szliśmy naprzód. Szliśmy i szliśmy. Zdawało się, że końca nie będzie tej męce. Nadomiar złego nagle, zdradziecko woda wtargnęła do lewego buta.

Przesiąkła przez skarpety i rozpaczliwie przylgnęła z niemi do nóg, znajdując w tem rozkosz jakąś sadystyczną. Lecz jak ktoś bystrze zauważył, wszystko na świecie ma swój koniec, więc i t a droga musiała się skończyć.

Doszliśmy do budek.

Zmęczone ciało opada, odpoczywa.

Słuch natężony wyczekuje z niecierpliwością tego słyszanego dotychczas tylko z opowiadań i opisów — grania cietrzewi.

Dokoła hałas.

Czajki drą się potępieńczo. Jęczą, zawodzą „jako płaczki przy grobowym dole".

Ten głos ich ma w sobie coś z dręczącego niepokoju, coś ze złego przeczucia.

W górze słychać miarowe tr-tr-tr-tr-tr lelka-kozodoja. Wydaje się, jakby w czasie tego turkotania wisiał nieruchomo w górze, w jednem miejscu.

Wreszcie w splot tych różnych głosów wnika srebrny dzwonek skowronka!

Co za szczęście, że ludzie źli nie myślą jeszcze o zamykaniu w klatkach tych boskich śpiewaków.

O, skowronku!

Pieśń twoja jest piękniejsza od hymnu Kochanowskiego.

Jest piękniejsza od wszystkich pieśni, jakie l u d z i e wyśpiewali na chwałę Boga!

Umilkło wszystko.

Nie słychać wrzasku ptasiej hołoty, tylko twoja pieśń - modlitwa płynie przed tron Najwyższego.

„I była chwila ciszy".

I całkiem niespodzianie w tę ciszę, jakby wyczekującą, wpłynął głos cietrzewia: czu — szyt.

Znów chwila cicha i znowu: czu — szyt.

Serce, co podeszło niespodzianie do gardła, zaczyna walić obłąkanie, szalenie, warjacko.

Płynie pieśń!

Gdybym znał wszystkie języki świata, jeszcze nie umiałbym wyśpiewać jej piękna i treści.

Trzeba ją słyszeć samemu, aby odczuć.

Wtem — strzał!

Jaki brutalny, jaki ostry, bezlitosny.

— „i powietrze stało
głuche, milczące, jak z trwogi oniemiało".

Żal.



Polesie. Opuszczone gniazdo. Fot. J. Hołyński.

Nie żal, że kogut zabity, ale że grać przestał.

Powiało zimnem.

Chmury zwiesiły się niżej i sypnęły gradem.

Skuliłem się w budce.

Zdrętwienie zaczęło obejmować nogi.

Dwie godziny w przenikliwem zimnie poranka wystarczyłyby nawet na ostudzenie krwi gorącego Hiszpana, czy Włocha. Nie trzeba więc dziwić się, że z rozkoszą myślałem o ciepłem łóżku.

Dziś, święty Hubercie, nie najlepiej zainscenizowałeś i wyreżyserowałeś to ranne przedstawienie.

*

Dziś wstaliśmy wcześniej, by obejść tę drogę wczorajszą, inną, dalszą drogą.

Dziś nie słychać jękliwych zawodzeń czajek, ani żadnych innych głosów.

Cisza wygwieżdżona, wysrebrzona księżycem...

Gdy gwiazdy zgasły i niebo zszarzało, gdzieś daleko odezwał się pierwszy tokowik.

Odpowiedziały mu ze wszystkich stron czuszytania.

Wtem nagły łopot skrzydeł gdzieś koło budki... i kogut siada na budce!

Schyliłem się nisko. Boję się, żeby nie usłyszał mojego oddechu i walenia serca.

Chwila niespokojnej ciszy?

— Czhu — u!

Zupełnie co innego, niż dalekie czu—szyt.

Drugi raz: czhu — u i płynie pieśń.

Jestem oszołomiony.

Dobrze jakoś, dziwnie, jak po pocałunku, albo po winie.

Pieśń jest też inna.

Jest bliska, dźwięczna, o jak dźwięczna!

Gdybyś, Kiepuro, miał gardło cietrzewie, czarowałbyś swym śpiewem nietylko ludzi, ale i zwierzęta!

Wtem kogut przerwał.

Z niskiego, rzadkiego zagajnika świerkowego dochodzą zjadliwe, bojowe czuszytania.

Frrr — — — pofrunął.

W górę wystrzela tryl skowronka, jak wczoraj, jak przedtem, jak zawsze.

Różanopalca Jutrzenka poprzedza wóz Heliosa, którego blaski złotem oświecają ziemię.

W zagajniku ruch coraz większy.

Wreszcie pierwsze koguty wysuwają się na łąkę.

Człowiek już nie jest człowiekiem: przemienił się w strzelbę.

O, święty Hubercie! Na budce znowu coś siada.

Podnoszę ostrożnie głowę: kura.

Fr, fr, łomot skrzydeł, cała banda kogutów wylatuje na łąkę. Próbuję liczyć. Nie mogę. Doliczyłem się piętnastu. Ciągły ruch, przelatywanie z miejsca na miejsce nie daje liczyć.

Na strzał wciąż za daleko.

Wreszcie jeden kogut ostro, śmiało podfruwa pod budkę. Wyprężony — kręci główką, widać wyraźnie czerwień nad oczyma.

Nie czekam. Strzał.

Nie wiem, czy kura siedzi jeszcze na budce, wiem tylko i widzę, że koguty grają blisko z drugiej strony budki.

Już nabój jest w lufie.

Wybieram dwa koguty blisko siebie siedzące i strzelam.

Dwa strzały — dwa koguty!

Jeden bije jeszcze skrzydłem o ziemię. Podnoszę się w budce, czekam, czy nie poprawić, o nie, już jest spokojny.

Słyszę, jak wali we mnie całym głośno serce.

Siadam szczęśliwy i patrzę na trzy koguty, moje trzy koguty! Z jednej budki!

JERZY KĘDZIERSKI

SPŁONKI LIGNOZY NA ZIMOWYCH POLOWANIACH
W SEZONIE 1937/38

Nawiązując do artykułu p. Metziga p. t. „Jeszcze z międzynarodowej wystawy łowieckiej w Berlinie" („Łow. Pol." Nr. 5 z 10.2.1938 r.) pozwalam sobie podać do wiadomości Kolegów-Myśliwych kilka spostrzeżeń, porobionych w zimie 1937/38 ze spłonkami Gévélot, wyrabianemi przez Sp. Akc. „Lignoza" na Śląsku.

Otóż przyznaję się zupełnie szczerze, że w licznych moich poprzednich artykułach z dziedziny amunicji myśliwskiej — chcąc być objektywnym i sprawiedliwym — zawsze wyrażałem się o niemieckich spłonkach „Sinoxid" z zupełnem uznaniem, bo na to bezwzględnie zasługiwały.

Trwało to — o ile osobiście miałem sposobność to stwierdzić — do końca r. 1936, poczem „zaczęło się coś psuć w państwie Duńczyków" — mianowicie zaczęły się trafiać niewypały i to coraz częściej. Z początku, słysząc te skargi — tłomaczyłem sobie to słabemi sprężynami, za krótkiemi lub zużytemi iglicami strzelb itp. Wypadki coraz częstszych niewypałów zaczęły się jednak trafiać myśliwym, posiadającym broń wysokiej klasy i tak starannie konserwowaną, że wadliwe funkcjonowanie zamków i iglic było wykluczone.

Przyczyna więc niewypałów mogła leżeć tylko w spłonkach.

Równocześnie ukazały się spłonki krajowe wytwórni Lignozy, które po licznych, kilka lat trwających próbach i ulepszeniach, w swej ostatniej edycji (denko z gwiazdką) poddane generalnej próbie tuż przed wypuszczeniem na rynek zbytu — okazały się pod każdym względem doskonałe.

Przy tych próbach zastanowiła mnie jedna rzecz, mianowicie przy badaniu wrażliwości na uderzenie aparatem kafarkowym pokazało się, że spłonki Lignozy eksplodują zupełnie pewnie przy 6 cm spadu kafarka (wagi 300 gr.), podczas gdy spłonki niemieckie „Sinoxid" wymagają silniejszego uderzenia, t. j. 8 cm spadu.

Gdy zaczęto się skarżyć na coraz liczniejsze niewypały „Sinoxidów", przypomniałem sobie te próby z aparatem kafarkowym. Poczynione badania, przeprowadzone na wystrzelonych spłonkach „Sinoxid", wykazały, że blaszka, z której jest zrobiony kapiszonik, jest twardsza i odrobinę grubsza, niż to dawniej było i w tem może należy szukać przyczyny niewypałów.

Dlaczego przemysł niemiecki, a specjalnie wytwórnia R. W. S. (Rheinisch - Westfälische - Sprengstoff - Aktiengesellschaft in Nürnberg), znana z solidności i dokładności, odeszła od pierwotnego, doskonałego materjału — trudno mi osądzić. Tłomaczę sobie to brakiem dobrego surowca i używaniem różnych starych stopów itp., do blachy miedzianej respective mosiężnej, z której tłoczą się kapiszoniki.

Czy to moje tłomaczenie jest trafne — nie wiem; faktem jest, że Niemcy cierpią na ogromny brak surowców prawie w każdej dziedzinie przemysłu i że obecne spłonki „Sinoxid" są gorsze od naszych spłonek „Lignozy".

Spłonki Lignozy przebyły ubiegłego sezonu jeszcze jedną, bardzo ważną próbę — mianowicie próbę niewrażliwości na duże mrozy.

Otóż w ubiegłym sezonie (1937/38) mieliśmy w naszej okolicy — nie bez powodu zwanej „Zimnem Podolem" — kilka dni istotnie „kawalerskich mrozów"; temperatura opadała do —26°C. Właśnie wówczas wypadło nam kilka polowań, które wprawdzie z pojęciem „przyjemności" nic wspólnego nie miały, ale które dały nam sposobność wypróbowania „na mróz" spłonek Lignozy, używanych prawie wyłącznie w Pol. Tow. Łow. w Złoczowie, którego jestem prezesem.

Otóż pomimo tych piekielnych mrozów nie zauważył nikt, wśród kilkuset wówczas oddanych strzałów, ani jednego niewypału, zaciągu, słabego strzału itp., któryby wskazywał na słabsze funkcjonowanie spłonki. Strzały były zawsze równomiernie silne, a lufa po strzale wykazywała tylko lekkie zamglenie, proch spalał się doskonale, nie zostawiając ani jednego płatka. Strzelaliśmy prochem „Sokół" P. W. P. Pionki.

Z naszych wytwórni amunicji, o ile mi wiadomo, przeszła pierwsza na używanie spłonek Lignozy fabryka Warszawskiej Spółki Myśliwskiej na Targówku, stosując je przy nabojach marki „Ryś".

Oczywiście trudno żądać od naszych wytwórni amunicji, by — zaopatrzywszy się swego czasu w miljony spłonek niemieckich „Sinoxid" — nie zużyły ich i przeszły odrazu na krajowe spłonki Lignozy.

Spłonki Gévélot są bowiem stosunkowo może najdroższą częścią składową naboju śrutowego.

Żywić jednak należy nadzieję, że w najbliższej przyszłości, t. j. przypuszczalnie z końcem sezonu 1938/39, będziemy przy naszej krajowej amunicji używać wyłącznie krajowych spłonek, które są i lepsze od zagranicznych — i tańsze.

INŻ. WALERY MARYAŃSKI.

NIE TWÓRZMY ZWIERZYŃCÓW PRYWATNYCH!

W pierwszych dniach maja r. b. zdarzył się w Wilnie straszny wypadek zagryzienia dziecka przez wilka, który się urwał z uwięzi. Wypadek ten wstrząsnął opinją publiczną i wywołał szerokie komentarze na łamach prasy codziennej. Ponieważ wypadek ten rzuca pewne światło na biologję wilka, jako zwierzęcia łownego, warto go omówić na łamach prasy łowieckiej.

Przy ul. Antokolskiej w Wilnie p. K. trzymał wilka na uwięzi. Wilka tego p. K. dostał w podarunku przed rokiem od pewnej osoby, która wilka jako szczenię kupiła w jednym z ogrodów zologicznych polskich. Wilk był urodzony w niewoli — z rodziców również w niewoli urodzonych. Zwierzę przebywało na podwórku, uwiązane na łańcuchu, przymocowanym do drutu, jak to się się praktykuje z psami w zagrodach wiejskich. Wilk nie był nieustannie trzymany na uwięzi: — p. K. spuszczał go z łańcucha parę razy dziennie dla umożliwienia mu wybiegu po podwórku, a nawet odbywał z nim dłuższe przechadzki po lasku Antokolskim, jak również zabierał go na dalsze wycieczki narciarskie. Zdaniem p. K. zwierzę było łagodne i do swego pana bardzo przywiązane.

Jakkolwiek p. K. zapewniał wszystkich o nadzwyczajnej łagodności zwierzęcia, to jednak miał dość częste scysje z lokatorami podwórka właśnie z powodu wilka. Na parę tygodni przed strasznym wypadkiem wytoczono mu nawet sprawę karno-administracyjną za „niezachowanie należytej ostrożności przy trzymaniu niebezpiecznego zwierzęcia". Sprawa wynikła na tle skargi pewnej kobiety, którą wilk miał ugryźć w koniec palca (?), gdy stawała w obronie rzekomo zaatakowanego przez wilka dziecka. Pozatem na skutek skarg lokatorów podwórka policja kilkakrotnie ostrzegała p. K., by psa nie spuszczał z łańcucha.

Krytycznego dnia dwai chłopcy, wychowankowie ochronki, wybrali się do lasku Antokolskiego zbierać kwiaty. Jednego z nich wilk zaatakował, powalił na ziemię i zaczął szarpać. Drugi uciekł do domu, alarmując rodziców. Na skutek alarmu, zbiegli się ludzie, lecz znaleźli tylko straszliwie zmasakrowane zwłoki dziecka. Wilk uciekł, przyczem ze śladów krwi na ziemi można było wnioskować, że wlókł swą ofiarę na przestrzeni kilkunastu metrów. Nadmienić trzeba, że scenę szarpania dziecka widziała jakaś przechodząca kobieta, lecz była przekonana, że widzi scenę zabawy dziecka z psem... Przybyłą policję poinformowano, że dziecko zagryzł prawdopodobnie wilk hodowany przez p. K. Po krótkich poszukiwaniach wilka znaleziono w jednym z okolicznych ogródków i zastrzelono. Miał on na szyi obrożę z kawałkiem oberwanego łańcucha, co dowodzi, że wilk nie był spuszczony, lecz sam się zerwał.

Opisany wypadek przypomniał mi doświadczenie z własnej praktyki. Przed wojną w majątku rodziców moich w Mińszczyźnie robiono kilka prób hodowania wilków, zabranych wprost z lasu, jako szczenięta. Otóż wilki hodowane na swobodzie, były nagół łagodne, w stosunku zaś do ludzi, nie wyłączając dzieci oraz psów — raczej tchórzliwe. Robiły jednak zastraszające szkody wśród drobiu, chociaż były dobrze karmione. Natomiast jeden wilk był trzymany stale na łańcuchu. Ten odznaczał się wielką złośliwością i zdarzył się wypadek, że zerwawszy się z uwięzi, zaatakował i pokąsał dorosłego człowieka. Musiano go zastrzelić. Możnaby stąd wysnuć wniosek, że wilk trzymany na uwięzi, jest złośliwszy i niebezpieczniejszy od wilka hodowanego na swobodzie *).

*) Zupełnie taksamo jak pies. (Przyp. red.).

Wypadek wileński przypomniał mi również relację o kilku stwierdzonych faktach rzucania się d z i k i c h wilków na ludzi (dzieci) na pograniczu sowieckiem, na Polesiu. Relacja ta była podana przez fachowca na łamach „Łowca Pol." — rok, czy dwa lata temu. Relacja ta narazie bardzo mnie zaskoczyła, gdyż zarówno na podstawie literatury łowieckiej, jak i na mocy twierdzeń doświadczonych myśliwych naszych, wyrobiłem sobie przekonanie, że w czasach dzisiejszych opowieści o rzucaniu się wilków (dzikich) na ludzi należą do rzędu bajek. W omawianej relacji był jednak pewien szczegół, który — przynajmniej w moich oczach — wyjaśnia do pewnego stopnia sprzeczność, że myśliwi uważają wilka (dzikiego) za zwierzę dla człowieka bezpieczne, a pomimo to, zdarzyły się ostatnio na Polesiu i w Wilnie wypadki rzucania się wilków na ludzi... Autor relacji o wypadkach poleskich zaznaczył, że zachodzi przypuszczenie, iż wilki, które się rzucały na dzieci, nie były wilkami czystej rasy, lecz krzyżówkami psów (wilczurów) z oswojonemi wilkami. Krzyżówki te miały być rezultatem prób, czynionych przez sowieckich strażników granicznych po tamtej stronie kordonu.

Opisany przeze mnie wypadek z mojej własnej praktyki, wypadki na Polesiu i wreszcie — wypadek w Wilnie — maja, zdaniem mojem, pewną wyraźną analogję. Mój wilk był wprawdzie zabrany wprost z lasu, jako szczenię, lecz w ciągu około 2 lat był trzymany na łańcuchu, przyzwyczaił się do widoku ludzi, kręcących się po podwórku, którzy nieraz drażnili go. Nabrał więc cech szczególnej nienawiści do ludzi i złośliwości, a zarazem musiał w nim zmniejszyć się instynktowny (u dzikiego wilka) lęk przed człowiekiem. Wilki poleskie były właściwie półpsami, a więc mogły „w wilczej linji" odziedziczyć tylko krwiożerczość, natomiast w psiej — brak lęku przed człowiekiem. Wreszcie wilk p. K. był już w trzeciem pokoleniu zwierzęciem napół oswojonem, co również musiało wpłynąć na zanik w nim instynktownej obawy przed ludźmi.

Z powyższych założeń zaryzykowałbym taką konkluzję: wilk absolutnie dziki boi się ludzi i ludzi nie atakuje, nawet dzieci, natomiast wilk oswojony lub pochodzący ze skrzyżowania z psem, może się stać groźny dla ludzi, zwłaszcza jeżeli skutkiem trzymania na łańcuchu nabierze szczególnej złośliwości. Nie jestem naukowcem i przeto konkluzji mojej nie podaje jako aksiomatu. Sądzę jednak, że zainteresuje ona naszych biologów i zachęci ich do głębszych studjów nad „naturą wilczą".

*
* *

Wypadek wileński nasuwa inne jeszcze uwagi.

Po tragicznem zdarzeniu z wilkiem p. K. okazało się, że w samem Wilnie są jeszcze 3 czy 4 wilki, trzymane na uwięzi. Podobno policja zainteresowała się temi prywatnemi zwierzyńcami i zamierza je „zlikwidować". Tak czy inaczej — sadzę, że obowiązkiem prasy łowieckiej jest apelowanie do pp. myśliwych, by wilków nie hodowali, zwłaszcza w miastach, zaś hodowane — oddali ogrodom zoologicznym. I to nietylko w interesie bezpieczeństwa ludzi... Zarówno prawo, jak i etyka, zabraniają dręczenia zwierząt. Miejscem dla wilka jest knieja, względnie ogród zoologiczny (zwierzyniec), urządzony nowocześnie — w sposób najbardziej przypominający warunki naturalnego bytowania zwierzęcia. Należy raz wreszcie skończyć z menażerjami, gdzie zwierzęta są torturowane w ciasnych klatkach, oraz z wilkami „łańcuchowemi!"

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

GŁUSZCE W JANOWIE LUBELSKIM

W numerze 15 „Łowca Polskiego" z dnia 20 maja 1937 r., w artykule „Głuszce w Zamoyszczyźnie", p. Władysław Zabiełło, na podstawie zebranych informacyj, podaje stan głuszców-kogutów, tokujących wiosną na terenie Ordynacji Zamoyskiej, w ilości 165 sztuk oraz bliższe dane, dotyczące ich rozmieszczenia na poszczególnych terenach, jak również wagi upolowanych tokowików.

Dane, dotyczące wagi zabitych głuszców, obudziły w N-rze 10 tegorocznego „Łowca Polskiego" zastrzeżenia pp. Wacława Podhorskiego i pewnego prenumeratora z Polesia. Istotnie 5,3 kg., podane jako przeciętna waga lubelskiego tokowika — nie budzi zaufania, to jednak za tę nieścisłość nie można obwiniać autora artykułu, a raczej wymienionych w artykule informatorów.



Kureń na Świrdzu. Fot. L. Pac - Pomarnacki.

Panu Zabielle należy się tylko podziękowanie za to, że starał się o uzyskanie danych, dotyczących stanu głuszców w Lubelszczyźnie, o istnieniu których większość naszych myśliwych prawdopodobnie nawet nie słyszała, lub posiadała bardzo skąpe informacje. Artykuł „Głuszce w Zamoyszczyźnie" stał się cennym przyczynkiem do historji głuszca w Polsce i materjałem do dokładnego ustalenia naszych „mateczników" głuszcowych w całym kraju.

Sprawę ilości i rozsiedlenia tej zwierzyny w Lubelszczyźnie należy traktować jako rzecz bardzo ważną, gdyż tereny Ordynacji stanowią jedyną oazę w całem b. Królestwie*), posiadającą głuszce, które ze zrozumiałych względów należy jaknajbardziej rozmnożyć, by stworzyć w centrum kraju siedlisko tej naprawdę królewskiej zwierzyny. Stanowisko to, ze względu na swe położenie i odległość, znacznie więcej powinno zainteresować sfery łowieckie, aniżeli powiedzmy głuszce karpackie, wileńskie, czy pomorskie, bardzo oddalone od stolicy i centrum kraju, a tem samem trudniej dostępne dla ludzi nie dysponujących znaczniejszemi środkami materjalnemi, ani czasem.

W celu uzupełnienia artykułu p. Zabiełły, a zarazem dostarczenia interesującym się sprawą głuszców lubelskich czytelnikom bliższych szczegółów o tej zwierzynie — pozwoliłem sobie na skreślenie poniższych uwag o Nadleśnictwie Janów, przejętem w roku 1936 od Ordynacji Zamoyskiej przez Skarb Państwa, a ściśle mówiąc przez Dyrekcję Lasów Państwowych w Radomiu, w którem spędziłem ostatnio szereg dni i zaznajomiłem się ze stanem głuszców oraz z tokowiskami.

Powierzchnia N-ctwa Janów wynosi 8661,5 ha w jednym kompleksie. Są to przeważnie stare bory sosnowe, przeplatane partjami mieszanych, o drzewostanie składającym się z sosny, świerka, jodły, brzozy, grabu i olszyny. Tereny są naogół podmokłe, z dużą obfitością błot, porosłych niską sośniną, o podłożu pokrytem torfowcem i krzakami bagna (Ledum palustre), oraz w suchszych miejscach wrzosem. Słowem błota te są okolicą, przypominającą wyglądem tereny głuszcowe Wileńszczyzny albo Polesia.

Wśród rozległych bagnisk rozrzucone są suche wyspy — ostrowy, porosłe staremi, rosochatemi sosnami, jakby specjalnie stworzonemi dla głuszców, które tu gromadzą się i grają na początku toków. W miarę tego jednak, jak toki się rozpalają — przenoszą się koguty na tereny bardziej suche, okalające błota.

Za czasów Ordynacji — stan głuszców w N-ctwie Janów był dość nikły. Składały się na to dwie zasadnicze przyczyny: 1) nieograniczony wypas bydła włościańskiego, które w ciągu wiosny, lata i jesieni łaziło po całym obszarze lasów i 2) brak zainteresowania głuszcem ze strony ówczesnej administracji leśnej.

Według opowiadań gajowych, którzy służyli dawniej w Ordynacji — na głuszce do Janowa nikt nigdy nie przyjeżdżał. Kiedyś, przed laty, wpadł raz tylko ktoś z gości hr. Zamoyskiego (zdaje się ks. Lubomirski), polował przez jeden ranek i wyjechał bez trofeum. Dlatego też miejscowa straż leśna nie miała najmniejszego pojęcia o łowach na tę zwierzynę, notabene wówczas dość rzadką, co najlepiej zilustruje następujący fakt.

W roku bieżącym, dnia 27 marca przyjechałem do Janowa w towarzystwie doskonałego myśliwego, inż. Frankiewicza, który jednak nigdy na głuszce nie polował. Nie chcąc tracić wieczoru, zaraz udaliśmy się do gajówki, by stamtąd wyruszyć na zapady. Ponieważ gajowego nie było w domu, a nie znałem zupełnie terenu — zdecydowaliśmy się wziąć za przewodnika staruszka, który przez piętnaście lat był miejscowym gajowym ordynackim. Ruszyliśmy w las, przeprawiając się po kładkach przez moczary, a że słońce chyliło się już ku zachodowi — śpieszyliśmy się bardzo, bo piękny wieczór budził nadzieje myśliwskie.

Kiedy jednak znaleźliśmy się w głębi boru, przewodnik oświadczył, iż nie wie, dokąd ma nas prowadzić, bo nie ma pojęcia poprostu, gdzie „ptoki bedom siadać", gdyż za jego czasów nikt się tem nie interesował. Zdumiony i zły, kazałem doprowadzić nas na brzeg najbliższego bagniska i tu pozostawiłem inż. Frankiewicza, sam zaś posunąłem się o pół kilometra dalej. W rezultacie inż. Frankiewicz i ja — zasadziliśmy po głuszcu, a chłop nawet nie potrafił nic wyśledzić, choć dzięki nam znajdował się przecież na tokowisku.

W sezonie bieżącym pierwszy raz usłyszano tok w dniu 18 marca, zaś umilkły koguty całkowicie 28 kwietnia. Ogółem tokowało na terenie państwowego nadleśnictwa Janów 12 kogutów, z czego w l-ctwie Ruda ur. Świrdze oddz. 154 — 5 głuszców tokowików i 3 — 4 krektunów, kręcących się milczkiem po tokowisku, w l-ctwie Łążek w oddz. 238 — 3 koguty

*) Głuszce na obszarze b. Kongresówki znajdują się także w okolicach Augustowa. (Przyp. red.).

i w odz. 166 — 2 koguty, oraz w l-ctwie Szklarnia pojedyńczo 2 koguty.

Z początkiem wiosny głuszce rozpoczynały tok dość wcześnie, mniej więcej przed 4-tą rano i tokowały na drzewach, zawsze na sosnach, wśród ostrowów, albo na błocie. W miarę tego, jak wiosna wstępowała w swe prawa, przenosiło się tokowisko na tereny suchsze — małe wzniesienia porosłe starym borem sosnowym, leżącym w bezpośredniem sąsiedztwie błot. Wówczas już koguty rozpoczynały grę bardzo późno, gdy w lesie było zupełnie jasno i po daniu kilkunastu pieśni — spadały na ziemię, gdzie grały dalej.

Pieśń głuszca lubelskiego składa się z 3-ch części. Po wolnem początkowo i rytmicznem klapaniu, przybierającem coraz bardziej na szybkości, następuje pewien dźwięk, jak korkowanie u głuszców poleskich, jednak w zupełnie odmiennem brzmieniu. Jest to raczej jakieś skrzeczenie, zresztą bardzo krótkie, choć wyraźnie zaznaczone, niemożliwe do oddania literami. Potem następuje normalne szlifowanie.

W zestawieniu z grą głuszców wileńskich tutejsza ich gra jest bardzo krótka. W okresie od 27 do 31 marca r. b. przeciętnie kogut tokował zaledwie około 20 minut. Najlepszy tokowik, jakiego słyszałem, grał 25 minut. Czy jest to stałą cechą lubelskich kogutów, czy też studziła zapał pieśniarzy wstrętna tegoroczna wiosna — nie umiem na to odpowiedzieć, postaram się jednak w ciągu przyszłych sezonów sprawę tę zbadać dokładnie.

W okresie dwóch ostatnich lat, to jest od chwili przejęcia N-ctwa Janów przez Dyrekcję Lasów Państwowych w Radomiu — stan głuszców wykazuje stałą poprawę. Zakaz pasania bydła i szczególna ochrona, jaką otacza się ten rodzaj zwierzyny — pozwalają stawiać pomyślne horoskopy na przyszłość. Sprawę odstrzału reguluje się bardzo starannie i umiarkowanie.

Jak już na wstępie zaznaczyłem, głuszec w Lubelszczyźnie jest osobliwością, której należy się specjalna opieka. To też, choć zgłasza się corocznie wielu reflektantów na ten rodzaj polowania — Dyrekcja zezwala na odstrzał tylko bardzo ograniczonej ilości kogutów, chcąc za wszelką cenę podnieść stan tej zwierzyny. Zabiegi te są uwieńczone pomyślnym rezultatem, bo w roku 1936 grały w Janowie tylko 4 koguty, w roku 1937 tokowików było już 8, a w 1938 stan ich wynosił 12 sztuk.



Polesie. Opuszczone gniazdo. Fot. J. Hołyński.

Ponieważ nie miałem dotąd okazji zważenia zabitego w tych okolicach głuszca, przeto nie mogę podać dokładnej jego wagi. Na oko jednak koguty tutejsze zdają się być bardzo duże.

Polowanie na tokach w Janowie Lubelskim nie zalicza się do bardzo wygodnych. Wprawdzie teren tokowiska jest suchy i można po nim spacerować w lakierkach — to jednak dotrzeć do miejsc tokowych inaczej, niż w butach z cholewami, jest prawie niemożliwe. Są też i inne przeszkody.



Z upragnionem trofeum. Fot. T. Pacyna.

W początkach okresu toków głuszce grają na błocie, gdzie woda sięga do pół łydki, a dookoła rosną krzaki wrzosu i bagna, nie ułatwiające bynajmniej cichego posuwania się, zwłaszcza w pośpiechu, wobec krótkiej gry tokowików.

Drugą plagą jest duża ilość kretunów, które, rwąc się z hałasem, pociągają za sobą i grającego koguta. W czasie mego pobytu w Janowie dwa piękne ranki zmarnowałem dzięki spłoszeniu niewidocznego w ciemnościach krektuna, ukrytego w pękach igliwia na mijanej sośnie.

Ostatni etap toków, kiedy koguty siedzą na ziemi, również nie sprzyja łowom, gdyż panująca w lesie jasność pozwala głuszcowi zauważyć zdala podchodzącego człowieka i wynieść się szybko z tego niebezpiecznego miejsca. Reasumując powyższe, zaznaczam, że upolowanie głuszca tutejszego jest prawdziwą delicją dla myśliwego-smakosza, który lubi zdobyć trofeum po uprzedniem rzetelnem jego wypracowaniu. W życiu niema reguły bez wyjątków — może się więc zdarzyć, że ktoś, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, zabije z łatwością koguta pierwszego ranka, to jednak takie wypadki w Janowie do częstych bynajmniej nie należą.

W przypisku Redakcji pod artykułem „Ścisłość i wiarygodność cyfr w artykułach łowieckich" w N-rze 10 tegorocznego „Łowca Polskiego", znajdujemy wzmiankę, że p. Władysław Zabiełło stara się o możliwość osobistego wystudjowania głuszców Zamovszczyzny i raz jeszcze zabierze głos w tej sprawie *). Niech więc mój niniejszy szkic bedzie przyczynkiem do Jego pracy o głuszcach w Lubelszczyźnie, dotyczącym głuszców z tej okolicy na terenach państwowych.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

*) W roku bieżącym projekt ten, niestety, nie został zrealizowany z przyczyn od p. Wł. Zabiełły niezależnych (Przyp. red.).

Celowe zarządzenie Wojewody Białostockiego

W Nr. 14 „Łowca Pol." z r. b. zamieszczona została wzmianka p. t. „Jeszcze w sprawie komasacji", w której podano przykład masowego wyniszczania drzewostanów na gruntach wsi Stara Ruda powiatu grodzieńskiego, wobec oczekiwanej komasacji gruntów, i apelowano do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych o przedsięwzięcie środków ochronnych, zapobiegających ogołacaniu z pokrywy roślinnej obszarów piasczystych, nie nadających się do żadnej innej uprawy.

W sprawie tej otrzymaliśmy obecnie pismo Ministerstwa Rolnictwa i R. R., które wyjaśnia, iż aczkolwiek z punktu widzenia gospodarczo - leśnego wycinanie drzewostanów na tego rodzaju obszarach nie powinno mieć miejsca, to jednak ustawowo podobne „wzmożone użytkowanie na małych działkach mieści się w ramach obowiązujących przepisów". Równocześnie jednak Ministerstwo R. i R. R., na podstawie dochodzeń organów ochrony lasów, komunikuje, że „ze względu na konieczność ochrony reszty drzewostanów i przeciwdziałania ewentualnej zmianie rodzaju użytkowania, Wojewoda Białostocki decyzją z dn. 18 maja r. b. uznał las wsi Stara Ruda za las ochronny, zabraniając wyrębów zrębami czystemi, karczowania pni i korzeni, pasania bydła i grabienia ściółki w tych działkach leśnych, gdzie drzewostan został całkowicie wyrąbany, lub też silnie przerąbany.

Nadto Urząd Wojewódzki wydał polecenie Starostwu Grodzieńskiemu rozciągnięcia ścisłego nadzoru nad temi lasami oraz zarządzenia oczyszczenia lasów od gałęzi i okorowania świeżych pni".

Witając z całem uznaniem celowe zarządzenie Pana Wojewody Białostockiego, musimy na tem miejscu wyrazić również gorącą wdzięczność Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych za wzięcie do serca podniesionej przez nas sprawy.

Sprawozdanie z konkursu młodych wyżłów Sekcji Kynologicznej Wielkop. Związku Myśliwych w Poznaniu

Jak zapowiadaliśmy, w dniu 30 kwietnia r. b. odbyły się w Dębinie pod Poznaniem popisy młodych wyżłów, urodzonych w 1937 r.

Do popisów stawiło się 10 wyżłów ras niemieckich i 2 wyżły angielskie.

Popisom sprzyjała piękna pogoda, jak i w zeszłym roku, widać i natura popiera te użyteczne imprezy, przy pomocy których pragniemy uzyskać doborowy materjał myśliwski, bo łowiectwo bez psa nie ma racji bytu, ponieważ bez psa ginie znaczny odsetek zabitej i niepodniesionej zwierzyny, a nie wystarczy też dobrze strzelać i zabić, ale trzeba odszukać i podnieść zwierzynę — w tem tkwi ważna część etyki myśliwskiej, której niema bez używania psa podczas polowania na drobną zwierzynę.

Popisom przyglądało się sporo widzów.

Komisja sędziowska w składzie P.P. R. Nowickiego, D-ra J. Szumana i A. Zellobera posługiwała się tabelą niemiecką dla młodocianych wyżłów, używając do oceny punktacje bez mnożnika, przy 0 — niedostatecznie, 1 — dostatecznie, 2 — dość dobrze, 3 — dobrze, 4 — znakomicie; przyznała wyżłom ras niemieckich 3 pierwsze nagrody, jedną II-gą i jedną III-cią.

Oprócz tego uzyskał II-gą nagrodę pointer.

Na pokazie za eksterjer uzyskał nagrodę jeden z niemieckich wyżłów, rodzice którego są, niestety, nieznanego pochodzenia.

Jako upominki otrzymali za swoje wyżły:

Leśniczy p. Fr. Ciupiński za wyżlicę Azę — torbę myśliwską; p. A. Gaponow za wyżlicę Kunę — kwit na kapelusz wartości 25.— zł.; Leśniczy p. P. Kaaz za wyżła Arno — futerał do strzelby, p. D-r W. Jeszke za wyżła Reksa — termos i p. M. Siudzik za pointerkę Legię — 2 obroże; oprócz tego otrzymał upominek Leśniczy p. Bańka za eksterjer wyżła Czang — plecak myśliwski.

Wymienione upominki były zakupione za pieniądze, ofiarowane przez Wielkopolski Związek Myśliwych.

Dla orjentacji podajemy tablicę wyżłów w kolejności ich występowania, z dokładnem określeniem punktacji w poszczególnych działach.

ZARZĄD SEKCJI KYNOLOGICZNEJ
W. Z. M. „ZWIĄZKU HODOWCÓW
WYŻŁA SZORSTKOWŁOSEGO".

Poszczególne działy pracy		Woda	Trop mener a	Wiatr	Sposób szukania	Wystawianie	Dociąganie	Apel	Suma punktów	Otrzymana nagroda	Właściciel względnie prowadzący
Ilość możliwych punktów		4	4	4	4	4	4	4	28		
Nazwa wyżła	Data urodz.										
„Aza" z nad Czarnego Jeziora	27.VII.37	2	1	4	4	4	4	4	23	I A	Leśniczy Fr. Ciupiński
„Luna"	9.VIII.37	2	0	2	0	2	0	1	7	—	Tomasz Brzeziński
„Kora" z Dębiny	26.V. 37	3	—	2	2	2	1	2	12	—	Dr. Luneburg
„Kuna" z Dębiny	26.V. 37	4	2	3	3	4	4	4	24	I B	Al. Gaponow
„Baldo" v. Weissenstein import	14.VI.37	2	2	1	2	1	1	4	13	—	Leśniczy Fr. Ciupiński
„Czang"	30.XI.37	2	2	1	1	0	0	0	6	—	Leśniczy Bańka
„Arno" z nad Czarnego Jeziora	27.VII.37	4	1	3	3	4	4	4	23	I C	Leśniczy P. Kaaz
„Artus" z nad Czarnego Jeziora	27.VII.37	2	2	2	2	1	1	4	14	III	Leśniczy B. Poczta
„Dzik" z Dębiny	26.V.37	2	2	0	2	0	0	2	8	—	Luneburg junior
„Reks" z Tarnowa	11.II.37	4	0	4	3	1	3	2	17	II	Dr. Jeszke
P o i n t e r y											
„Legja" Gerston	24.III.37	—	—	3	4	4	4	4	19	II	Właściciel Al. Stokowski prowadził M. Siudzik
„Norma"	7.VIII.37	W y c o f a n a									Wieliński



A l e k s a n d e r P a t k o w s k i: *Sandomierskie.* Str. 238. Jako XII tom „Cudów Polski" puściło w świat zasłużone Wydawnictwo Polskie R. Wegnera książkę naprawdę wspaniałą, opartą na głębokich dociekaniach źródłowych, w estetycznej szacie, ozdobioną na każdej niemal stronicy ilustracjami i fotografjami, pochodzącemi od osób prywatnych i ze zbiorów polskich instytucyj naukowych. Książka par excellence na czasie w dobie, kiedy powstaje potężne dzieło polskich mózgów i rąk: Centralny Okręg Przemysłowy. I zapewne nie jest to dziełem przypadku, że cenne to wydawnictwo zaopatrzył przedmową Wicepremjer i Minister Skarbu, Eugenjusz Kwiatkowski.

„Aleksander Patkowski w swej niezwykle ciekawej pracy, opartej na olbrzymim materjale, zobrazował w pięknej formie przyrodę...'. Te słowa przedmowy zachęcają myśliwego do rozejrzenia się w kartach tej książki; znajdzie on tu dla siebie specjalne, a cenne wiadomości. Idźmy za myślami autora, na teren dawnych puszcz: radomskiej, sandomierskiej i świętokrzyskiej.

Geolog, rozczytując się w ziemi świętokrzyskiej, odsłania nam koleje losu prawiecznej przeszłości. Oto mieliśmy tu w zamierzchłych mocno, bo lodowcowych i tundrowych, dziejach: potwornego płaza mastodonsaurusa, mamuta, włochatego nosorożca, olbrzymiego jelenia, renifera, tura, bizona, konia dyluwialnego, słonia południowego, niedźwiedzia i hjenę. Polował na nie ówczesny człowiek-jaskiniowiec raczej „wysiłkiem myśli i woli, niż przewagą fizyczną. Jego bystrość obserwacji i pomysłowość zwyciężały przewagę fizyczną bezdusznych olbrzymów — zasadzką, pułapką, sidłami, lub wilczym dołem. Zgruba obtłukiwane i oszczerbiane narzędzia krzemienne służyły mu do sprawiania zwierzęcia i rozbijania jego kości dla wydostania zeń szpiku i do obrabiania skóry i drzewa. Znacznie później zwierzęce rogi, zęby i kości uzbrajały dłoń i ułatwiały pracę, zaspokajającą potrzeby życia".

Ten myśliwy i rybak, prowadząc życie koczownicze, mieszkał wtedy w szałasach, skleconych z gałęzi, a podczas zimna i słoty krył się w schronach skalnych i w nielicznych jaskiniach. Przechodząc do czasów historycznych, tak pisze autor:

„Polowali świętokrzyscy myśliwi na grubszą zwierzynę: niedźwiedzie, łosie, na jelenie i wilki i na cenione bobry, które gęsto budowały żeremia nad leśnemi rzekami. Dzisiaj po nich tylko pamięć w nazwach wsi pozostała: po niedźwiedziach — w Niedźwiedzu, po łosiach — w Łosieniach i Łosienkach, po turach — w Turowie i Tursku, a najwięcej po wilkach — w niejednej Wilczej Woli, Wilczym Dole, Wilczej Jamie, Wilkowcach, Wilczycach i Wilkowie.

Polowano różnie, jak się to i dzisiaj w legalnem i nielegalnem myślistwie dzieje. Myśliwy podchodził, ścigał, a nadewszystko stosował różnego rodzaju zasadzki na wszelakiego zwierza, znając go i obserwując pilnie.

Grodzono ongi samołówki na wilki z płotu tak zaplecionego, aby ostro zacięte końce wicin wystawały do wnętrza w kierunku drogi wilka. Wilk, gdy wszedł do wilkowni, wycofać się i wyjść już nie był w stanie.

„Strożyły się" i dziś jeszcze się strożą w Koneckiem i Opoczyńskiem — paście, pułapki na lisy z przywiązaną przynętą. Świętokrzyski myśliwy za piastowskich czasów skóry zwierząt, upolowanych w podobny sposób, wymieniał na płody rolnicze; sprzedawał tak i kły zwierząt w Kielcach i Kiełczynach. Osobliwie skóry kunie zastępowały długi czas rzadki pieniądz piastowski w Opatowskiem i Opoczyńskiem, gdzie znane są wioski, Kunice, oraz miasteczko, karczmy, bory i stawy — Kunowskie".

Wśród ludu utrzymały się legendy myśliwskie, a legenda o św. Emeryku, jeleniu z krzyżem wśród rogów, odżyła w „Puszczy Jodłowej" Stefana Żeromskiego. Dawne polskie łowy znalazły swe odbicie także w dawnej sztuce. Gdy zmarł kanclerz wielki koronny, Krzysztof Szydłowiecki, wówczas zięć jego, hetman wielki koronny, Jan Tarnowski, sprawił mu płytę grobową, na której — między innemi — widzimy siedem chartów, leżących pod stołem ze spuszczonemi smutnie lub podniesionemi, jakby do wycia, pyskami, a trzy spłoszone sokoły zrywają się do lotu.

Poza tem, cośmy tu powiedzieli, autor często jeszcze porusza tak miły dla nas temat łowów i kniei, o której stęskniony poeta świętokrzyski, Wespazjan Kochowski, tak pisze:

„Natura sama wzbudza te przymioty,
Że każdy kocha Ojczyzny swej płoty...
I mnie miłe gór świętokrzyskich knieje,
Na których wiecznie liść się zielenieje"...

Książka „Sandomierskie" jest owocem znacznego wysiłku i trudu autora, który, jak nikt inny, miał prawo i obowiązek pisać o Sandomierskiem. Prof. Al. Patkowski, Sandomierzanin z urodzenia i wychowania, bliski wszystkich, którzy czemkolwiek na przełomie wieku i dziejów współczesnych ziemię tę głośną uczynili, twórca i wydawca „Pamiętnika Sandomierskiego", redaktor krajoznawczej „Ziemi" — włożył w swą pracę gruntowną wiedzę i umiłowanie rodzinnej ziemi.

*

L e o p o l d P a c - P o m a r n a c k i: *Międzynarodowa Wystawa Łowiecka, Berlin 1937.* Stron 19.

Autor, jeden z wybitniejszych pisarzy myśliwskich, Łowczy Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu, powziął słuszną myśl poinformowania o największej łowieckiej akademji świata, jaką była wystawa berlińska — tych, których ona zainteresować powinna, a którzy nie mogli wyjechać do stolicy Niemiec. Na dziewiętnastu stronicach, odbitych na powielaczu w ilości 65 egzemplarzy, a rozesłanych do biur i 40 nadleśnictw Dyrekcji Radomskiej, zamknął autor jasny i przystępny opis wszystkich pawilonów. Kończąc to sprawozdanie, zastanawia się autor nad tem, co dała światu ta wystawa i kreśli takie słowa:

„Wychodząc z tego olbrzymiego kompleksu pawilonów przy ul. Kaiserdamm, nikt już nie potrafiłby obstawać przy tak często słyszanem powiedzeniu, że łowiectwo, to zabawa możnych. Wszystko dookoła dowodziło, krzyczało poprostu, że w zorganizowanem i światłem państwie łowiectwo stanowi olbrzymie bogactwo narodowe i ważną gałąź przemysłu. Berlińska wystawa łowiecka nie zawierała wyłącznie setek wieńców jelenich czy szabel dziczych. Obok nich wznosiły się stoiska fabryk broni i amunicji myśliwskiej, pawilony optyki z lornetkami polowemi i lunetami sztucerowemi, stoiska garbarzy, kuśnierzy, rusznikarzy, szewców, krawców, pawilony prasy i literatury, a wszędzie ogromnemi głoskami wypisano ilu robotników zatrudniają te zakłady i warsztaty, ile rocznie przynoszą dochodu, ile tysięcy kilogramów mięsa i ile tysięcy sztuk skór rzucają w sezonie na rynek państwowy.

I te sumy, te dziesiątki miljonów marek zamykały usta największym nawet wrogom łowiectwa, najzacieklejszym malkontentom. Ludzie ci zapierali się teraz dawnych poglądów, dawnych swych zapatrywań na „barbarzyńskie polowanie". Skruszeni stali w milczeniu przed fotografjami uratowanych przez myśliwych ginących gatunków ssaków i ptaków, podziwiali rekordowy wzrost zwierzostanów i coraz lepsze, coraz dodatniejsze wpływy kulturalnego myśliwego na knieję.

Przez hale wystawy szły, płynęły codziennie dziesiątki tysięcy ludzi z Niemiec i zagranicy. Zwiedzały ją wycieczki młodzieży szkolnej, wojska, policji, kobiet, wieśniaków... Rosła sława międzynarodowego łowiectwa i leciały wieści o cudach polskich kniei".

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

*

„Ż y c i e R o l n i c z e", tygodnik, organ Związku i Organizacyj Rolniczych R. P., zamieszcza od czasu do czasu artykuły związane z łowiectwem. Jest to dowodem, że w zakresie działalności tego wydawnictwa, zakresie bądź co bądź niezmiernie szerokim, a w dążeniach programowych, zajmujących się ogólnem podniesieniem kultury rolnej kraju i zapewnieniem jak najwięk-

szej dochodowości naszemu rolnictwu, łowiectwo stanowi jedną z dziedzin, której należy się baczniejsza uwaga i troska o jej własny rozwój.

Ostatnio w Nr. 22 z dn. 28 maja r. b. znajdujemy pożyteczny, popularnie i dość wyczerpująco ujęty artykuł inż. W. Lindemana p. t. „Kuropatwa przyjacielem rolnika". Pióro tego autora i tematy przez niego opracowywane w fachowych, bądź też w beletrystyczną formę ujętych, artykułach znamy dobrze z łamów „Łowca Polskiego", niema zatem potrzeby rozwodzić się nad wartością tej ostatniej pracy, jak zwykle jasno i zajmująco ujętej.

W danym wypadku chodzi o stwierdzenie, że coraz szersze jest nazewnątrz prasy łowieckiej zainteresowanie tematami z tej dziedziny, że w różnych zakresach łowiectwo integralnie łączy się z zadaniami i celami wielu innych dziedzin naszego życia gospodarczego i że wydobywanie tej łączności przez poszczególne organy prasy fachowej lub codziennej należy zaliczyć do szczęśliwego zjawiska, które popularyzuje w sposób właściwy i pożyteczny idee łowieckie wśród tych wszystkich, których zainteresowanie łowiectwem — choć nieraz bardzo odległe od bezpośrednich refleksów pasji myśliwego — powinno być bardzo świadome i zdecydowane.

Treścią artykułu, o którym mowa, jest krótka biologja kuropatwy i uświadomienie rolnika o pożytku, jaki ptak ten przynosi przez pożeranie wielkich ilości szkodliwych dla plonów gąsienic i dorosłych owadów z tych, które bywają plagą szeregu roślin, a zwalczane są wydajnie przez kuropatwy, jak również przez zjadanie nasion szkodliwych chwastów polnych (lebiody, bylicy, szczawiu, ostu i innych). Kuropatwy bowiem pełnią w rolnictwie podobną a wydatną służbę obronną, jak sikory, pokrzewki, szpaki i t. p. w ogrodach i lasach.

WŁ. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

LA CHASSE MODERNE

Nr. 3/1934, str. 13. „*Ochrona zwierzyny w Kolonjach*". — W artykule, pochodzącym od redakcji, autor daje obraz zastraszającego niszczenia zwierzyny, dokonywanego w kolonjach afrykańskich, należących do Francji. W pewnym okręgu Wybrzeża Słoniowego miejscowa administracja terenów kolonjalnych sprzedaje co roku do 600 kłów słoniowych, dostarczanych przez tubylców, co stanowi równoważnik 300 słoni zabijanych rocznie. Dostawca mięsa dla robotników, zatrudnionych w Congo-Océan, dostarcza od szeregu lat od 10 do 12 słoni miesięcznie, w tem samice i młode. Na rynku w Bangui ukazało się na targu w jednym dniu przeszło 100 skór z żyraf, zwierząt urzędownie chronionych. Jeden z administratorów francuskich urządził dla swych gości polowanie na antylopy z sieciami: w ciągu dwu godzin złapano i zabito 121 sztuk antylop, w tem dużo rzadkich. Przez Brazzawille przewieziono w jednej partji 50 tys. kg. kości słoniowej, co odpowiada 800—1000 zabitych słoni. W okręgu fortu Archambault wywóz rogów nosorożców osiągnął w ciągu 2 lat — 10 tys. kg., co świadczy o ubiciu 5 — 6 tys. sztuk zwierząt, dziś już prawie wyniszczonych. Pewien turysta europejski za wiedzą administracji kolonjalnej zabił w ciągu jednego dnia 30 hipopotamów, drugi zaś „zawodowiec" dostarczył tejże administracji 40 tys. kg. suszonego mięsa hipopotamów, co równa się 500 ubitym zwierzętom.

Zwracając uwagę, że wszystko to dzieje się w obliczu ustaw „regulujących polowanie w kolonjach i na terenach mandatowych" (dekrety z dn. 10 marca 1925 r. i 20 sierpnia 1929 r.), autor przypisuje ich bezskuteczność brakowi organów nadzorczych i wykonawczych i, powołując się na odmienne stosunki, panujące w tej dziedzinie w Kongo belgijskiem i Kenyi angielskiej, wzywa do utworzenia we Francji osobnego stowarzyszenia, złożonego z naukowców, myśliwych i turystów, któreby postawiło sobie za zadanie ochronę zwierzyny w brussie i dżuglach kolonjalnych. Stowarzyszenie to zgromadziłoby niezbędny do oświetlenia sprawy materjał faktyczny i na jego podstawie przedstawiłoby władzom należycie opracowane instrukcje do użytku tak administracji kolonjalnej, jak zamieszkałej w kolonjach ludności francuskiej.

Nr. 3/1934, str. 29. „*Czy można bez szkody używać nabojów 65 mm. do strzelb przystosowanych do nabojów 70 mm. i odwrotnie?* — Użycie nabojów krótszych, niż komora, nie powoduje żadnego niebezpieczeństwa ani dla broni, ani dla myśliwego, ale wpływa ujemnie na szybkość początkową pocisku oraz na prawidłowe rozmieszczenie śrucin i ich penetrację, zwłaszcza w tym wypadku, jeżeli stożek, łączący komorę z lufą, jest długi (ponad 15 mm.). W tym przypadku przybitka nie wypełnia szczelnie komory i następuje osłabienie prężności gazów. W każdym razie przy używaniu na zmianę nabojów o długości 65 mm i 70 mm, należy bardzo starannie przeczyszczać komorę, szczególnie jej część zwężoną (stożek), gdyż osad prochu, pozostający tam przy strzelaniu nabojami krótkiemi, jest następnie, przy użyciu łusek długich, wciskany przez nie pod naciskiem gazów w komorę, co stopniowo może powodować jej zwężenie. Odwrotnie, używanie t. zw. longów do strzelb z komorą 65 mm. może poważnie szkodzić strzelbie przez zwiększone ciśnienie, spowodowane zwężeniem wylotu komory przez rozwiniętą dłuższą od niej łuskę. Efekt pocisku jest również dużo gorszy z powodu rozsypania śrucin i nieregularnego ich rozmieszczenia.

LE CHASSEUR FRANÇAIS.

Nr. 574/1938, str. 213. M. Marchand „*Szybkość ruchu zwierzyny i korekta strzału.* — Angielscy wytwórcy broni myśliwskiej przeprowadzili liczne próby, celem ustalenia szybkości lotu zwierzyny skrzydlatej. Próby te wykazały, że gołąb, kuropatwa i bażant przelatują w warunkach normalnych z szybkością 12 — 15 m. na sekundę. Kuropatwa pędzona robi już 20 m. i więcej, gołąb pocztowy — do 30 m., a ptactwo przelotne np. kaczki do 40 m. na sekundę. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że szybkość początkowa pocisku śrutowego wynosi 400 m. na sekundę, że na odległość 40 m. średnica koła pocisku śrutowego stanowi 1,1 m., zaś ilość śrucin skutecznych w kole wynosi 75%, to przy szybkości lotu, równej 15 m. na sekundę, należy założyć przed ptakiem o 2,5 m. naprzód, zaś przy szybkości 40 m — o 6,75 m. Trudność określenia tych odległości na tle nieba jest b. znaczna, a mało pomoże stwierdzenie, że przy długości np. kuropatwy w locie równej 20—25 cm., założyć należy o 10-krotną jej długość. Daleko łatwiej jest orjentować się w tym wypadku przy strzałach do zwierzyny czworonożnej. Przy strzale do zająca defilatora, mierzącego 0,75 m., założenie 2,5 m. równać się będzie 3-krotnej jego długości, co już nie jest trudne do określenia. Dobre wyniki w strzelaniu do ptactwa szybko lecącego może myśliwemu zapewnić tylko długa wprawa, dająca pewne zautomatyzowanie strzału.

J. G.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, III kwartał, lub na miesiąc lipiec.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. Administracja.

Wystawa prac uczniów grafików

W dniu 29 maja r. b. zamknięta została w Warszawie czterodniowa wystawa prac uczniów Szkoły Przemysłu Graficznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Państwowej Koedukacyjnej Szkoły Fotograficznej i Dokształcającej Szkoły Graficznej. Żywo stoją mi przed oczyma dwie tegoroczne, doskonale zorganizowane, a zawierające wspaniałe eksponaty, wystawy — w Poznaniu wystawa polskiej grafiki myśliwskiej i w Warszawie wystawa „Drzewo, drewno i drzeworyt". O obu pisałem na łamach „Łowca Polskiego", gdyż obie wchodziły w orbitę pełnych zainteresowań kulturalnego myśliwego. Zwierzyna łowna, polowanie i las — to rodzeństwo.

Chęć przekonania się czy motywy i sceny łowieckie, oraz motywy z życia zwierząt łownych, są dostępne uczniom powyższych szkół, a jeśli tak, to w jakim stopniu, z całą ochotą udałem się na otwarcie tej wystawy. Przebiegłem wzrokiem dokładnie korytarz i cztery sale, niestety, tematu łowieckiego tu nie znalazłem, bo trudno doń zaliczyć psa i kota w przyjacielskiej zgodzie przy jednej budzie, mysz, wronę. Były tu wprawdzie zajączki, jako ilustracja wewnętrzna tekstu książki oraz okładka książki z trzema bocianami, a inna z mocno stylizowanym żubrem pod drzewem „Białowieża", lecz to jeszcze nie grafika myśliwska, jak również nie tworzą jej trzy eksponaty na rzecz ogrodu zoologicznego w Warszawie (żyrafa, dwa ptaki, pies morski).

Brak scen łowieckich nie jest brakiem zainteresowania się tą gałęzią ze strony uczniów. Młodzi ludzie nie mieli poprostu jeszcze możności oglądania tych scen w naturze lub w sztuce. Znając w tym kierunku intencje „Łowca Polskiego": zachęcenie narybku do tematów związanych z życiem myśliwego oraz mieszkańców pól, lasów i mokradeł, poruszyłem tę sprawę u p. dyrektora Dąbrowskiego, służąc mu mojemi zbiorami rycin, sztychów, rysunków i drzeworytów myśliwskich. Propozycja moja została żywo przyjęta i wzięta będzie pod rozwagę w tym duchu, by jak najszersze grono uczniów zaznajomić z życiem przyrody, zwierzyny łownej i myśliwego.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI

Zawody w strzelaniu do rzutków na Śląsku

Śląskie Towarzystwo Łowieckie urządziło 29.V.1938 r. przy leśniczówce Wesoła obok Murcek zawody zamknięte strzelania do rzutków. Uczestniczyło 30-tu członków. Kierownictwo sprawował Prezes Stan. Cenkier, sędziował Dr. Podgórny.

Pogoda naogół dopisała. Zawody przebiegły w nastroju radości i w atmosferze prawdziwie sportowej. Osiągnięto jednak wyniki o wiele gorsze, niż w latach ubiegłych. Zaznaczyć wypada, że zawodnicy strzelali bez żadnego treningu i podczas gdy pierwsze serje były zwykle bardzo marne, w następnych osiągano wyniki ponad 80% a nawet do 100%, co już ogólnego wyniku gruntownie poprawić nie mogło.

Uroczy zakątek leśny w Wesołej rozniósł echo 2331 strzałów, któremi rozbito w puch z 1490-ciu rzutków — 746 t. j. nieco ponad 50%. Strzelano do 50 rzutków w serjach 20 — 20 — 10. Zawody prowadzone były na zasadach Regulaminu Narodowego Myśliwskich Strzelań Sportowych i miały na celu zaprawę oraz wyłonienie ekipy śląskiej na zawody w Zielone Święta w Szczęśliwicach.

Według osiągniętych wyników, ufundowanemi przez Zarząd Towarzystwa nagrodami podzielili się Panowie:

1.	Stanisław Cenkier	37/74	7.	Gustaw Dergiman	32/74
2.	Rudolf Lodek	35/67	8.	Romuald Mędlewski	31/76
3.	Karol Weps	35/74	9.	Zdzisław Bysiek	27/83
4.	Jan Bukowski	35/80	10.	Józef Cichoń	27/84
5.	Wilhelm Jona	34/83	11.	Wład. Malinowski	26/66
6.	Roman Drozd	32/72			

Nagrody stanowiły cenne przedmioty sprzętu myśliwskiego. Za wyłożone koszty i trudy organizacyjne należy wyrazić wdzięczność Zarządowi Śl. Tow. Łowieckiego oraz firmie Mędlewski w Katowicach, zaś szczególne podziękowanie Spółce Giesche oraz Insp. Dergimanowi za użyczenie strzelnicy.

Ponowne strzelanie do rzutków, jako przedsezonowa zaprawa—zorganizowane będzie prawdopodobnie we środę 29 czerwca 1938 r.

Dr. JAN PODGÓRNY.

Z powiatu jasielskiego

Nie tak odległe to czasy, bo ledwie 15 — 20 lat temu, gdy o spotkanie z dzikiem w kniejach jasielskiego powiatu nie o wiele było trudniej, niż o spotkanie z zającem. Dzisiaj jest to już tylko możliwe... chyba na kartach naszych dzienników łowieckich.

Dzik w powiecie jasielskim „narazie" przeszedł do historji. Piszę „narazie", gdyż tu i ówdzie — raz w roku — słyszy się, że dzik przechodził, ale na tem koniec. Oczywiście całkowite wytępienie dziczego pogłowia, to w znacznej mierze skutek plagi i zarazy powiatu — kłusowników. Chcąc jednak być bezstronnym — przyznać trzeba, iż niemałą winę ponosi tu także nastawienie władz administracyjnych dawnego regimu, poświęcających łowiectwo dla polityki problematycznej wartości.

To też różnych doznawałem uczuć, gdy niedawno dowiedziałem się, że starostwo jasielskie zamierza urządzić „obławę" na dziki w Żurowej, gminy Szerzyny, gdzie rzekomo miały się pojawić w dużej ilości — wyrządzając znaczne szkody w uprawach rolnych. Radość z faktu, że jednak w zachodnim cyplu powiatu, graniczącym z pow. tarnowskim, ocalały jeszcze niedobitki tego pięknego, przedhistoryczne czasy pamiętającego zwierza — nie trwała długo, bo wszak grozi im zagłada...

Z powątpiewaniem przyjąłem wiadomość, by miało ich być aż tak wiele. Zaapelowałem też z miejsca do referenta spraw łowieckich p. Balickiego, prosząc, by zbadał, czy istotnie szkody są tego rodzaju, żeby usprawiedliwiały potrzebę urządzenia obławy i to w czasie ochronnym, w maju, — wyrażając przytem przekonanie, że rzecz cała jest chyba mocno przesadzona. Gdyby zaś nawet tak było, czy nie należałoby raczej pomyśleć o regeneracji dzika w powiecie. Obecny przy tem członek Związku i znakomity hodowca, p. Adam Gorayski z Szebni — dał wyraz wątpliwości, czy którykolwiek z zaproszonych, a szanujący się myśliwy — zechce w czasie ochronnym strzelać do loch.

Referent łowiecki starostwa i czł. Rady Łowieckiej p. Balicki przyrzekł rzecz zbadać, zanim powziętą zostanie decyzja.

Właściciel polowania w Żurowej i członek Związku, p. Juljan Budzyn, nadesłał mi pismo, które cytuję:

> „...zapodaję, że dzików w lasach w Żurowej pow. Jasło, oraz w graniczących z nimi lasach Ryglice-Joniny powiatu tarnowskiego, które wszystkie stanowią własny mój teren łowiecki, jest prawdopodobnie 12 sztuk. Obszar lasu wynosi 790 ha. Szkody przez nie wyrządzane w tych trzech wioskach wynoszą około 50 — 60 zł. dziennie, z którego to właśnie powodu jestem zmuszony nietylko je płoszyć (co nie pomaga), ale częściowo wybić.
>
> Ostatecznie może i dałoby się te dziki ochronić, gdyby nie w najwyższym stopniu szkodliwa, tak dla łowiectwa, jak i przeciwko mnie skierowana, działalność Gminy Ryglice (powiat Tarnów) oraz tamtejszego Sądu Rozjemczego do wynagradzania szkód łowieckich. Tą swoją szkodliwą działalnością zmuszają mnie aż do tego, żeby teraz w czasie ochronnym i w czasie lęgów wybijać tego, jak bardzo słusznie WPan zauważa, tak rzadkiego i pięknego zwierza".

Tyle p. Juljan Budzyn. — Sądzę, że „działalnością" Gminy Ryglice i Sądu rozjemczego zainteresuje się p. Łowczy powiatu tarnowskiego, inż. Karol Hülle, a także Wydział krakowski Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

Ze Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego w Katowicach

W dniu 5 maja 1938 r. w Katowicach odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie członków Śląskiego Tow. Łowieckiego, które, prócz załatwienia spraw finansowych Towarzystwa, wybrania nowych władz, miało na celu zajęcie stanowiska wobec kwestji, czy z uwagi na powstanie Polsk. Związku Łowieckiego Towarzystwo ma nadal rację bytu.

Po sprawozdaniu skarbnika p. Grzonki, na wniosek przewodniczącego Komisji Rewizyjnej p. Herdego, uchwalono jednogłośnie Zarządowi absolutorjum, poczem wybrano nowy Zarząd w składzie: Prezes Stanisław Cenkier, Wiceprezesi Inż. Antoni Rowiński i Dr. Wilert, sekretarze Inż. Romuald Urbański i inż. Jan Bukowski, skarbnik Franciszek Grzonka, Łowczowie: Inż. Józef Buczacki, Hegenscheit i Romuald Mędlewski. Do Komisji Rewizyjnej wybrano: Franciszka Herdego, Dyr. Vogta i Dr. Podgórnego.

W wyniku dyskusji, jaka wywiązała się na tle wygłoszonego przez p. Dr. Podgórnego referatu, omawiającego rolę istniejących zrzeszeń ideowych w dzisiejszej organizacyjnej sytuacji naszego łowiectwa, uchwalono byt Śląskiego Tow. Łow. utrzymać, a w szczególności z uwagi na to, że Woj. Oddz. P. Z. Ł. znajduje się jeszcze w stadjum organizacji i, jak wynika z protokółu z dn. 13 marca 1938 r. posiedzenia Naczelnej Rady Łowieckiej w Warszawie, rok 1938 uważany jest w P. Z. Ł. jeszcze jako okres organizacyjny. Zatem zebrani dochodzą do przekonania, że załatwienie bieżących problemów łowieckich spoczywa jeszcze nadal na barkach Śl. Tow. Łow. Niezależnie od tego Śl. Tow. Łow. zdąża do poparcia wszelkiej działalności P. Z. Ł. na terenie woj. śląskiego i postanowiło z funduszów swych udzielić Śl. Woj. Oddz. Pol. Zw. Łow. pożyczki w kwocie do 500 zł. na cele organizacyjne. Uchwalono, by Zarząd Śl. Tow. Łow. pracował w ścisłem porozumieniu z Woj. Oddz. P. Z. Ł. i aby wspólnym wysiłkiem prowadzić celową działalność dla dobra łowiectwa śląskiego.

Koszty premjowania za walkę z kłusownictwem w kwocie około 1,200 zł. i należność za medale i dyplomy otrzymane z Nacz. Rady z Warszawy, uchwalono pokryć z budżetu Śl. Tow. Łow.

Postanowiono, by Śl. Tow. Łow. zgodnie z swą tradycją nie tworzyło klubu myśliwskiego i nie wynajmowało terenów łowieckich, lecz jak dotychczas pracowało ideowo, czyli pozostało wierne swej tradycji, jaką spełnia od roku 1924 na terenie Śląska. Postanowiono urządzić strzelanie do rzutków i na zakup premij przeznaczono kwotę 200 zł. Imprezę tę postanowiono urządzić w ścisłem porozumieniu w Woj. Oddz. P. Z. Ł. i z udziałem wszystkich jego członków.

W sprawie Śląskiej Sekcji Kynologicznej postanowiono zwrócić się do zainteresowanych myśliwych, by swe wnioski zgłaszali do Zarządu Śl. Tow. Łow. w Katowicach, gmach Tow. Czytelni Ludowej.

Upoważniono Zarząd do zebrania danych w sprawie wystawy grafiki myśliwskiej i uchwalono na ten cel 100 zł.

Postanowiono prowadzić propagandę w kierunku ochrony zwierzyny łownej i ptaków przez zasilanie prasy artykułami oraz opracowanie aktualnych odczytów do radja i przedmiotowych odezw.

Wybory władz w Wojskowem Towarzystwie Łowieckiem w Warszawie

Dnia 20 maja b. r. odbyło się Walne Zebranie Członków Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie pod przewodnictwem płk. Buckiewicza, na którem zostały wybrane nowe władze Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego na rok 1938/39 w następującym składzie:

Zarząd:

Prezes — gen. bryg. Głuchowski Janusz,
Wiceprezes — płk. dypl. Strzelecki Leon,
Łowczy — Por. Salecki Edward,
Podłowczy — Płk. Gorski Jan,
Podłowczy — Płk. dypl. Rozwadowski Władysław,
Podłowczy — Mjr. Sanocki Stanisław,
Podłowczy — Mec. Niewęgłowski Kazimierz,
Sekretarz — Mjr. Czajkowski-Wanat Mieczysław,
Skarbnik — Kpt. Busz Zygmunt.

Komisja Rewizyjna:

Płk. dr. Kamiński Tadeusz,
Płk. dypl. Rakowski Bronisław,
Płk. pil. Buckiewicz Antoni,
Mjr. Gorazdowski Jan.

Sąd Łowiecki:

Gen. bryg. Olbrycht Bruno,
Gen. bryg. Dembiński Stefan,
Płk. dr. Szarecki Bolesław,
Mjr. inż. Proszkowski Dymitr.

Sekretarz
CZAJKOWSKI-WANAT
major.

Z Puszczy Iłżeckiej

I znów zapełniła się zwierzem Puszcza Iłżecka; znów prawiekowe jodły słyszą co wieczór stukot racic płowej zwierzyny oraz po nocach rechtanie wojowniczych odyńców i troskliwych samur. Znów, jak za przedwiekowych czasów, śnieg jest udeptany raz przy razie tropami leśnych mieszkańców...

A stało się to nagle i niespodziewanie!

Jeszcze przed 10 laty lasy Starachowickie znane były z zupełnego braku zwierzyny. Jeleń i dzik przeszedł do legendy; spotkanie sarny uważane było za wypadek nadzwyczajny — jedynie czasem zabłąkany lis, lub przechodni zając — gdzieniegdzie znaczyły śladem śnieżną w lesie ponowę.

Dopiero z objęciem naczelnego zarządu lasów przez p. Józefa Pierożyńskiego gospodarstwo leśno-łowieckie zmieniło się radykalnie. Osiem lat wytężonej pracy i żelaznej energji postawiło lasy Starachowickie, ten ośrodek dawnej Puszczy Iłżeckiej, na jednym z najwyższych szczebli gospodarki łowieckiej. Około 200 jeleni, tyleż dzików, przeszło 1.500 sarn — dowodzi najlepiej co może dokonać silna wola jednego człowieka, zamiłowanego w swym fachu — rozumiejącego potrzeby lasu i jego mieszkańców.

A więc przedewszystkiem — absolutny spokój; gajowi i konni objazdowi dniem i nocą strzegą wejścia do powierzonych im rewirów. Wytępiono paręset włóczących się psów i kotów; wreszcie każdej zimy dziki zaopatrywane są w koninę — sarny zaś i jelenie znajdują stale siano i okopowiznę w gęsto ustawionych paśnikach. Taka opieka nietylko rozmnożyła miejscową zwierzynę, ale i ściągnęła z dalekich nawet okolic niepokojonego gdzieindziej zwierza, który, znalazłszy tutaj spokój i pożywienie, zostaje zwykle już na stałe.

Rzecz oczywista, iż przy dużej ilości dzików muszą być i szkody tak w sąsiednich polach, jak i w kulturach leśnych; stokrotnie jednak wynagradzają te szkody, tępiąc larwy i pędraki groźnych dla lasu owadów, zarazem wzruszają ziemię — zadrzewiają nasionami leśnemi rzadsze miejsca, dając możność powstania podszycia lasu, tak ważnego nietylko dla samego lasu, ale i dla wpływów deszczowo-klimatycznych całej okolicy.

Pierwszy raz miałem szczęście wzięcia udziału w polowaniu na grubego zwierza w Starachowicach i dzień 26 lutego r. b. zapisał się głęboko w mej pamięci. Te sylwetki potężnych dzików, przesuwających się w każdym miocie pod gałęziami jodeł i świerków — te masy sarn, wciąż w licznych rudlach uwijające się we wszystkich kierunkach — te ufne zające spokojnie siadające na linji między myśliwymi — no i wreszcie wieczorem zakończenie polowania — przy blasku ognisk — na śniegu rozłożone 18 dzików, w tem 2 ogromne, a 9 dużych odyńców!... Wszystko to pozostawia wrażenie na całe życie.

Tak wspaniały wynik jednodniowy przypisać należy nadzwyczajnemu opracowaniu i organizacji polowania, a przyznać trzeba, że kierowanie 30-ma myśliwymi i dwu setkami nagan-

ki na tych ogromnych terenach nie należy do rzeczy łatwych. A jednak wszystkie mioty były udane, nigdzie nie wkradł się nieporządek lub omyłka. Myśliwi, każdy z mapką lasu w ręku — nie sprawiali zamętu ciągłemi pytaniami. Naganka, pod wodzą przeszkolonej poprzednio straży leśnej, posuwała się spokojnie i cicho we wskazanych kierunkach, przystając co paręset kroków dla wyrównania linji i zdezorjentowania zwierza, który, płoszony strzałami rewolwerowemi leśników, prowadzących nagankę, ustępował, idąc zdecydowanie na linję myśliwych.

Niech mi wolno będzie na łamach „Łowca Polskiego" podziękować p. Józefowi Pierożyńskiemu za pozwolenie wzięcia udziału w tej prawdziwej uczcie myśliwskiej. Cześć myśliwemu i hodowcy!

H. RUDZKI
Łowczy P. Z. Ł. na pow. Opatów

ROZMAITOŚCI

Jak fotografować trzeba psa? (St. Hubertus, zesz. 11, 1936 r.).

Psa myśliwskiego należy zdejmować zawsze z boku tak, aby widocznem było ustawienie nóg i linja grzbietu, przyczem pies nie powinien mieć pyska otwartego i spuszczonego ogona.

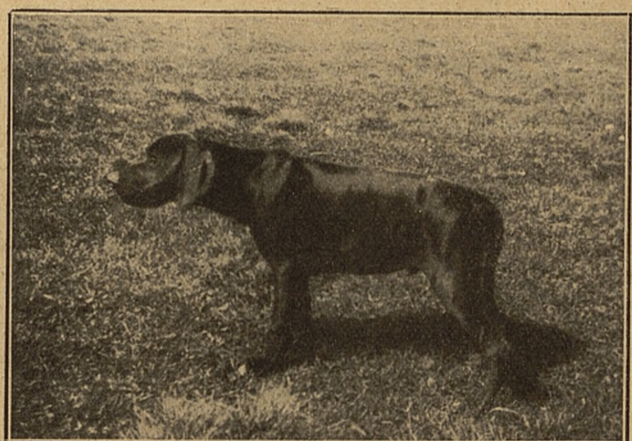
Do zdjęcia przy dobrem świetle potrzeba zawsze trzech osób: właściciela psa, pomocnika i fotografa.

1. Zdjęcie robi się ze statywu; wysokość aparatu równać się winna wysokości linji grzbietowej psa.

2. Po umieszczeniu aparatu nastawia się go na właściciela psa w odpowiedniej odległości.

3. Miejsce, w którem właściciel psa „pozował", oznacza się kamykiem lub gałązką.

4. Właściciel psa oddala się o 20 m. w kierunku, w którym zwrócony na zdjęciu ma być pies, i zatrzymuje się.



Następca „Trolla" (miesięczny szczeniak, syn Trolla i Splendor Niny) — w „stójce" do kur. Fot. K. Tarnowski.

5. Pomocnik na cienkim sznurze (który łatwo da się zaretuszować) podprowadza psa dokładnie na miejsce (oznaczone), w którem stał jego pan.

6. Skoro pies stanął na oznaczonem miejscu, właściciel oddala się, jak gdyby chciał odejść. Jeżeli pies zachowuje się mimo to obojętnie, pan jego powinien wziąć strzelbę, lub w inny sposób zwrócić na siebie uwagę psa. Z reguły jednak pies będzie odejściem pana zaciekawiony i ustawi się w pożądany sposób. Pomocnik w chwili zdjęcia powinien zwolnić sznurek, aby na szyi psa nie było znać zacisku. Oczywiście pomocnik stoi z tyłu, poza polem zdjęcia.

7. Rzeczą fotografa jest uchwycenie odpowiedniej chwili do zdjęcia (migawkowego).

8. Zdjęcia robi się zawsze przynajmniej podwójne.

9. Do druku najlepsze są odbitki na papierze błyszczącym.

10. Psy białe i jasne wychodzą najlepiej na tle ciemniejszem. Puste podwórko nie jest dobrem miejscem do zdjęć. Wyżeł wychodzi najlepiej w terenie polnym, lub na tle krzewów ogrodowych. WŁ. K.....SKI.

KRONIKA MYŚLIWSKA

— **Wykaz ubitej zwierzyny w sezonie myśliwskim 1937/38 na terenie dóbr Nawojowa — Rytro — Szczawnica:**

Jeleni — 3, dzików 36, rogaczy — 13, zajęcy — 82, ryś — 1, lisów — 3, łasice — 2, kotów — 28, pies — 1, jastrzębi — 43, wron, srok — 281, bażantów — 20, kuropatw — 3, kwiczoł — 1, kaczki dzikie — 3.

Padło na choroby i z rąk kłusowników: jeleni — 2, dzik — 1, rogaczy — 2.

Razem 520 sztuk.

Dwa powyżej podane jelenie zginęły w ciągu zimy na jakąś nieokreśloną bliżej chorobę żołądka, były słabe w rogach i w mięsie.

Przez rysie zostało rozdarte i znalezione potem kilkanaście sztuk sarn.

Naogół w górach Beskidu Sądeckiego zima była łagodna, tak iż zwierzyna przezimowała dobrze.

Kłusownicy, a zwłaszcza dzierżawiący małe tereny, a polujący na nich przez cały rok na wszystko, bez respektowania czasów ochronnych — są w górach największą plagą dla zwierzyny — zwłaszcza odkąd do dzierżawy tych małych terenów zachęca ich możność regresu — do właścicieli terenów, w których „zwierzyna ma stałą ostoję".

SPROSTOWANIE.

Do nazwiska autora artykułu p. t. „Długodzioba", zamieszczonego w Nr. 16 „Łowca Polskiego" z dnia 1 czerwca r. b., wkradła się pomyłka.

Nazwisko autora brzmi: Edward Bohdanowicz.

SPROSTOWANIE.

Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego przy Pol. Związku Łow. prostuje niniejszem niedokładność, jaka wkradła się do artykułu P. Antoniego Baranowskiego w Nr. 14 „Łowca Pol." z dn. 10 maja r .b., dotyczącego sprawozdania z światowych zawodów rzutkowych w Helsinkach. Mianowicie omyłkowo jest podane, że członek naszej drużyny rzutkowej, inż. Witold Jeziorowski miał osiągnąć 6 miejsce w Zawodach Narodowych 1937 r., które były jednocześnie eliminacją kandydatów do zawodów światowych.

Komisja Gł. Strzel. Myśl., na podstawie zatwierdzonych oficjalnie osiągniętych wyników, stwierdza, że p. Witold Jeziorowski w Zawodach Narodowych 1937 r. zajął 5 miejsce z wynikiem 260/300.

TREŚĆ NUMERU:

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

UZUPEŁNIENIA W SPRAWIE KAPELUSZA DO STROJU ŁOWIECKIEGO.

W łączności z zamieszczonym w „Łowcu Polskim" Nr. 15 z dnia 20 maja r. b. na str. 317, w dziale urzędowym, opisem stroju łowieckiego dla członków Polskiego Związku Łowieckiego, wyjaśniamy, co następuje:

Firma E. Mieszkowski (Warszawa, Nowy Świat Nr. 53) posiada na składzie narazie tylko kapelusze łowieckie do użytku codziennego.

Natomiast kapelusze łowieckie kształtu góralskiego, obowiązujące przy stroju łowieckim podczas wystąpień uroczystych i oficjalnych, nabywać można w firmie „Przemysł Ludowy" (Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 67).

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

POWIAT KOWEL WOJ. WOŁYŃSKIEGO.

W myśl § 50 statutu P. Z. Ł. Walne Zgromadzenie Powiatowe członków P. Z. Ł. odbędzie się w dniu 19 czerwca o godz. 12 w sali Wydziału Powiatowego w Kowlu.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie,
2. Wybór 2-ch asesorów i sekretarza.
3) Odczytanie protokółu ostatniego Walnego Zgromadzenia.
4) Sprawozdanie Powiatowej Rady Łowieckiej,
5) Wybór członków Rady,
6) Wybór delegata na Zgromadzenie Wojewódzkie.
7) Wolne wnioski.

Walne Zgromadzenie jest prawomocne przy każdej ilości zebranych w pierwszym terminie.

Dr. DAGANOWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

DO PANÓW ŁOWCZYCH POWIATOWYCH POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Prosimy Panów Łowczych Powiatowych o nadsyłanie wiadomości o zwoływanych przez siebie Walnych Zgromadzeniach Powiatowych w terminach, pozwalających na celowe umieszczenie w „Łowcu Polskim" tych zawiadomień. Zwracamy uwagę, że zamykamy każdy numer pięć dni przed jego ukazaniem się.

REDAKCJA.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Z ZAWODÓW PIONEK.

Zanim zamieścimy szczegółowe sprawozdanie z odbytych w dniach 5 i 6 czerwca r. b. Ogólnopolskich Zawodów w strzelaniu do rzutków, urządzanych od lat czterech przez Państwową Wytwórnię Prochu Pionki, korzystamy z możności podania interesującym się tym sportem czytelnikom wyników cyfrowych, osiągniętych przez pięciu pierwszych nagrodzonych zawodników.

W klasie A zajęli kolejne miejsca pp.:

1. Wilhelm Ziegenhirte 97/100.
2. Tadeusz Obutelewicz 95/100.
3. Stanisław bar. Rosenwerth 91/100 po rozgr.
4. Mjr. Stefan Sztukowski 91/100 po rozgr.
5. Stanisław Czerski, sen. 91/100 po rozgr.

W klasie B zajęli kolejne miejsca pp.:

1. Jerzy Feil 89/100.
2. Pakowski 83/100.
3. Roman Klawe 79/100.
4. por. Wojciech Kołaczkowski 78/100.
5. Karol ks. Radziwiłł 76/100.

*

Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego przy P. Z. Ł. zawiadamia, że w dniach 8, 9 i 10 lipca r. b. odbędą się na standzie w Szczęśliwicach Narodowe Zawody Myśliwskie z programem następującym:

A. Konkurencja śrutowa w strzelaniu do rzutków o Mistrzostwo Polski na 1938 r. (300 rzutków z 15 metr).

B. Konkurencje kulowe: do pojedyńczego dzika i do dzika dubletami na 50 m., oraz do jelenia na 100 m.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego: za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24; miesięcznie zł. 2. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa